odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok IV. ŁÓDŹ, 20 sierpnia 1961 r.

Nr 33 (181) Cena 1 zł

JERZY SZPERKOWICZ

VII. WYRÓŻNIENIE W KONKURSIE „OPISANIE ŁODZI"

ULICE OD RZGOWSKIEJ JAK LUFY

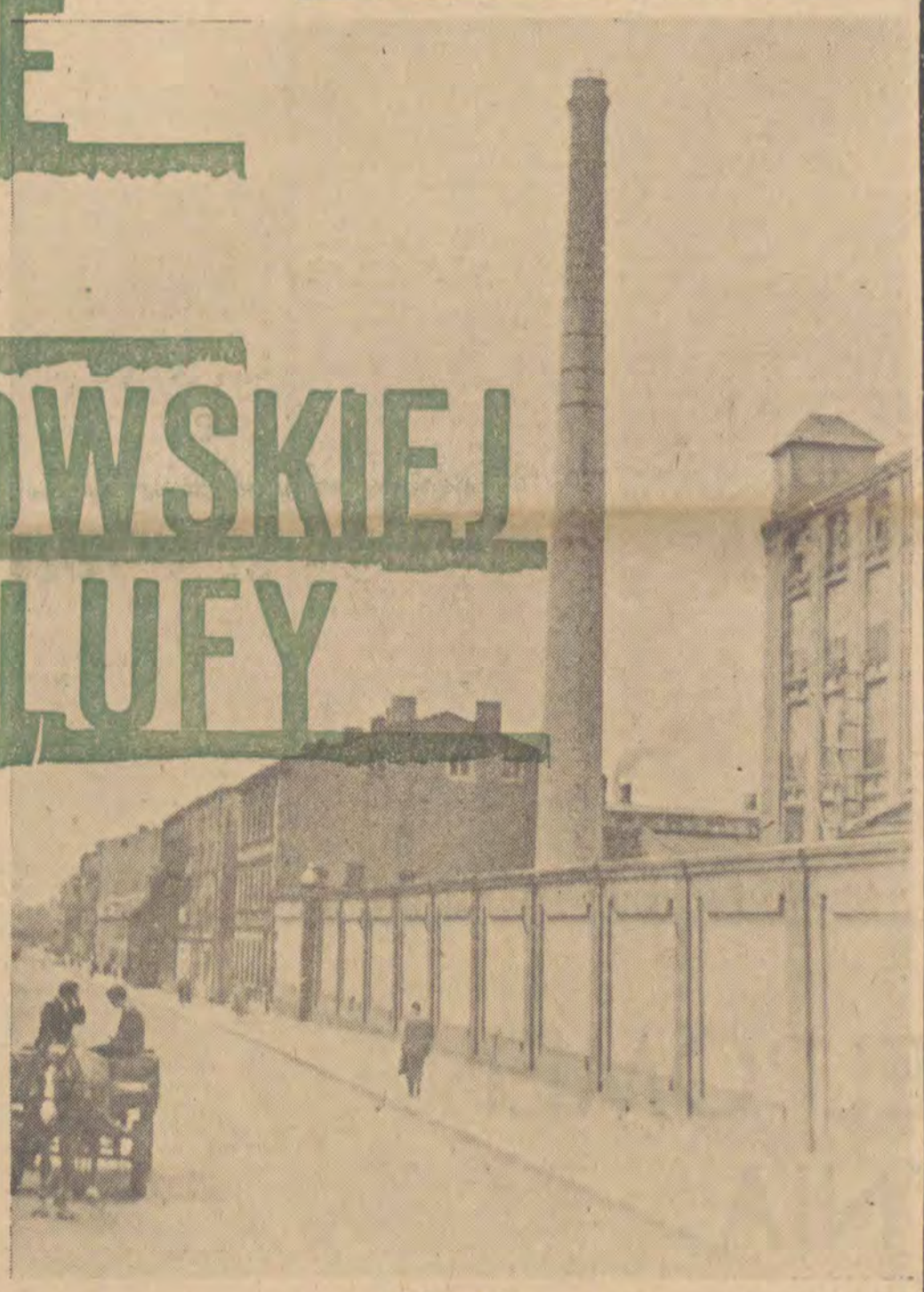

ul. Zarzewska

„Jest to miasto bardzo wielkie i zasobne, bardzo handlowe i przemysłowe. Lecz, że nic nowego nie ma tam do powiedzenia opowiemy o innym mieście."

(MARCO POLO
„Opisanie świata", rozdz. CLII)

Z perspektywy przechodnia Chojny są jedną ulicą z kawałkiem. Tą, którą się właśnie idzie i kawałkiem przecznicy, jeśli jest przecznica. Chojny Przed Torem, starsza część Chojen. Im dalej centrum, tym rzadsze bywają przecznice i zagląda się w uliczki od Rzgowskiej, jak w luty. Urbanistyka stworzona do wznoszenia barykad i prowadzenia wezbranych pochodów. Dwa rzędy domów — drewniaki czynszówki — wpatrują się w siebie zgasłymi szybami. Pasemko bruku. Na Płockiej, Kilińskiego ścieki fabryczne bulgocą w rynsztoku i cuchną, czasem szyld sklepowy, gdzieś trafi się ceglany rodzynek — nowy dom. Takie są Chojny z wysokości metr siedemdziesiąt.

Zaszedłszy dzielnicę od tyłu, z wiaduktu nad granicznym torem wypatrzeć można kontury obszaru. Od strony Rudy: magazyn „Społem" — w prześwicie czerwieni się osiedle Kurak — od komina zakładów „Polska Wełna". Stamtąd do palisady kominów nad Jasienią. Jest tam w palisadzie szczerba — kończą się scheiblerowskie, zaczynają widzewskie. Od tej szczerby — na południowy wschód, byle jakoś z powrotem do toru.

To są Chojny Przed Torem. Patyki kominów, zastygła czarna kra dachów, kępki zieleni, jak nieśmiały zarost nieletniego. 500 hektarów, 60 tysięcy mieszkańców. Chojny — nawet łodzianie nie mówią nic nadto, że „jest to dzielnica bardzo robotnicza i charakterystyczna". Po czym przechodzą do Bałut, Widzewa.

* * *

Spod wiaduktu odchodzi autobus nr 54. Wsiądźmy, żeby się rozpatrzeć w historii.

Sama Łódź, a więc tym bardziej Chojny nie miały szczęścia do podróżników i dziejopisów. Niejaki ks. Polkowski pożyczył kiedyś z kapituły włocławskiej księgę erekcji miast. Pożyczył i nie zwrócił. I nie wiadomo teraz — kiedy ta Łódź powstała. Wiadomo, że niestrudzony Jagiełło przeniósł ją w 1433 roku z prawa polskiego na magdeburskie. I ustanowił jarmarki w soboty, co można sprawdzić na chojeńskim Czerwonym Ryneczku.

Późniejsze dokumenty, już dość zawiesiste — jeden wylicza „imiona" krów w majątku biskupim: krasula, łaciata — o Chojnach ledwo wspominają: „granice z panami Stokowskimi od wsi Chojny niespokojne i worane" — pisze wizytator w 1720 roku, a w czterdzieści lat później wnioski pokontrolne proponują... odgrodzenie się od Chojen... wodą.

Rok 1793. Znowu stracona okazja. Do Piotrkowa podąża znakomity podróżnik Fryderyk Schultz, autor opisu Polski czasu króla Stasia. Jednak nie kwapi się jakoś na trakt łęczycko-piotrkowski, nad którym tyle zachwytów w pracach historyków łódzkich. Jak na złość zwiedza i opisuje Rąszyn, Rawę, Mszczonów.

Ani Mikołaj I (nawiedził miłościwie Łódź w 1820 r.), ani Oskar Flatt, autor pierwszego „Opisu miasta Łodzi" (1853) Chojnom nie poświęcili uwagi. Toteż zdani jesteśmy na własne siły i bez wehikułu czasu, niczego się nie dowiemy. Na szczęście Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne dysponuje odpowiednim taborem. Jedziemy właśnie do granic miasta, do początków ubiegłego wieku.

Rzgowska nr 335 i ostatnia miejska latarnia. Dalej jest

Dalszy ciąg na str. 4

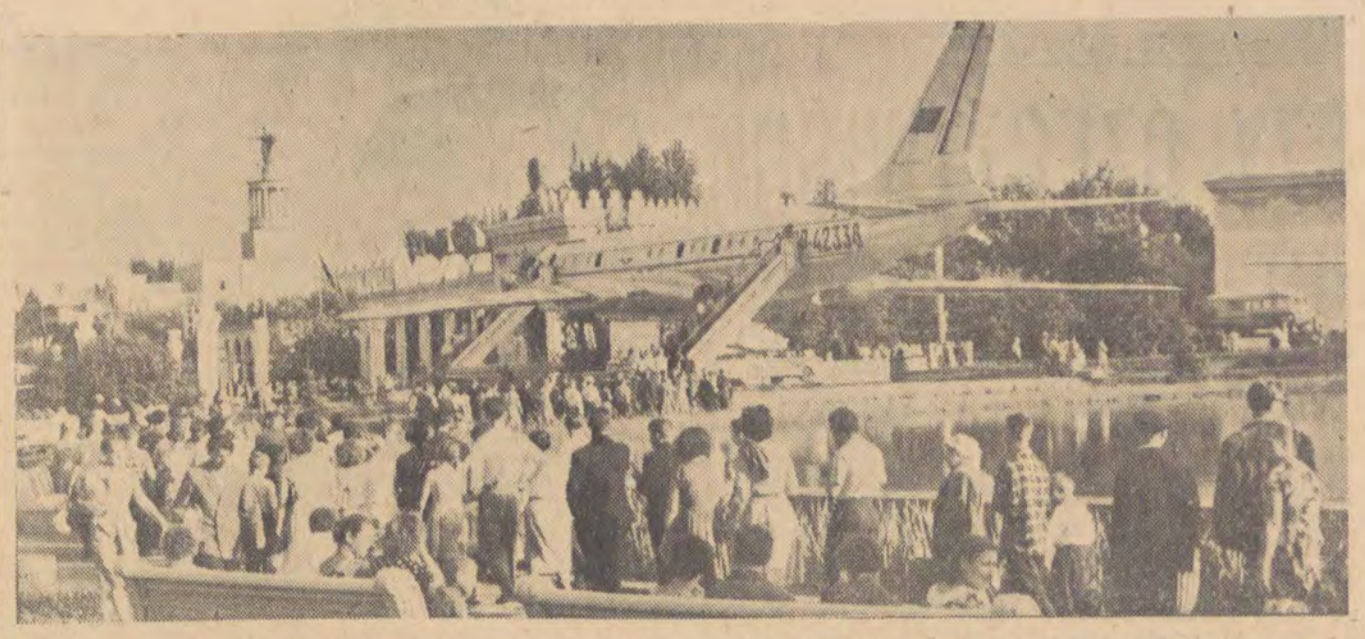

Dziesiątki tysięcy ludzi zwiedzają codziennie moskiewską wystawę dorobku narodowego. Największym powodzeniem cieszą się samoloty pasażerskie

WSZYSTKIE DROGI PROWADZĄ DO MOSKWY

Tekst i zdjęcia: WIESŁAW MACHEJKO

Wszystkie drogi prowadzą do Moskwy. Pociągami, samolotami, luksusowymi autokarami największych przedsiębiorstw turystycznych świata codziennie zjeżdża do tego miasta tysiące ludzi ze wszystkich krajów i kontynentów. Najpierw jest Moskwa a potem dalsze podróże po kraju budzącym zaciekawienie graniczące niemal z sensacją. W istocie dla ludzi o mentalności zachodniej, jeśli tak można powiedzieć, ludzi którzy zwykli oceniać swych bliźnich po ich stroju, samochodzie, czy w końcu po grubości portfela, wiele rzeczy wydać się tu może niezrozumiałych i szokujących. Argumenty namacalne i zyskane zadają jednak takiemu sposobowi myślenia cios po ciosie. W końcu nie będzie już ważne to, czy na posterunku drużnika stoi człowiek w uniformie zdobnym złotem, czy prosta „dziewuszka" w chusteczce na głowie. Ważne jest to jak pracuje. A ludzie tutejsi pracują znakomicie, spokojnie, dyskretnie niemal jak cienie. Efekty ich trudu muszą więc zdumiewać. W duszy turysty zachodniego w ciągu kilku dni pobytu w ZSRR zachodzi powolny proces zmiany poglądów. Jeśli w pierwszej chwili po wyjściu z autobusu fotografuje jako oryginała człowieka w pogniecionej cyklistówce, szerokich spodniach dźwigającego telewizor, to już po paru godzinach będzie to dla niego rzecz zwyczajna tak samo jak siwiuteńki ubogo odziany brodacz fotografujący sobór Wasyla Błażennego najnowszym aparatem „Zenit-3" z obiektywem o jasności 1:1,5!

A zatem kraj kontrastów. Na pewno.

Wróćmy na ulice Moskwy. Te ulice kiedy stały się za wąskie jak na potrzeby wielkiego miasta poszerzono przesuwając olbrzymie kamienice o kilkanaście metrów w bok. Dziś główne arterie miasta liczą po 50 i 60 m. szerokości, płynie nimi bez przerwy potok samochodów i to płynie z szybkością, jak na nasze warunki zupełnie szaloną.

Jadę taksówką z duszą na ramieniu. Kto to widział pędzić po mieście 80-tką? Tu jednak rzecz to zwykła. Zwykła?! Jeśli wziąć pod uwagę, że tutejsze przepisy

Dokończenie na str. 6

Fotografowanie stało się pasją...

ALEKSANDER POSTOŁOW

CZY RZECZYWIŚCIE NIEPOTRZEBNE?

ROZMOWY O POLITYCE KULTURALNEJ

Kanikuła, kanikuła... I choć tegoroczne lato często zawodzi, w mieście puchy, w kinach, teatrach, radio, telewizji też. Prasa również podlega tym regułom, chociaż... Właśnie w prasie literackiej, na przekór ogórkowym nastrojom, a może po trosze i dzięki kanikule — jako że wtedy łatwiej trafić na łamy nawet z niepopularną tematyką — przeczytałem kilka ciekawych artykułów o tak zwanym upowszechnieniu kultury.

W jednym z nich, noszącym tytuł „Kultura dla ubogich duchem" (Nowa Kultura z dnia 23 lipca 1961 r., nr 30) Stanisław Dan, traktując problem kompleksowo, dochodzi do pewnych uogólnień na podstawie materiału zebranego na terenie wrocławskich placówek kulturalnych. Publicyści parający się tą tematyką ujmują sprawę przeważnie wycinkowo, tak jak wycinkowo ujmowano zagadnienie polityki kulturalnej w dyskusji toczącej się od dłuższego już czasu na łamach „Odgłosów". Tymczasem Dan poświęcając gros uwagi wrocławskim świetlicom i klubom przyzakładowym, ujmuje problematykę dość wszechstronnie, poruszając aspekty organizacyjne, kadrowe i programowe. Autor dotyka spraw wielokrotnie dyskutowanych wśród naszych działaczy kulturalno-oświatowych, dochodząc przy tym do wniosków, które uzyskały już w Łodzi prawo obywatelstwa. Tak na przykład mówiąc o pracy domów kultury, klubów i świetlic, Dan stawia pod znakiem zapytania celowość przyzakładowych, zamkniętych placówek kulturalno-oświatowych. Daleko większą żywotność wykazują zdaniem autora placówki środowiskowe, lokowane zwłaszcza na peryferiach, odciętych od śródmieścia, pozbawionych placówek zawodowych. Można się tu w pełni zgodzić z autorem, zwłaszcza, że znaczna część naszych działaczy kulturalnych doszła i dawniej do tego samego wniosku badając działalność placówek od strony potrzeb terenu. Postulat otwartych, środowiskowych klubów, świetlic i domów kultury zdobył sobie już w naszym mieście prawo obywatelstwa w świadomości jakże licznych, zaangażowanych w sprawy kultury czynników. Ba, można chyba powiedzieć, że jesteśmy w trakcie realizacji tego postulatu, choć w przejściu od słów do czynu nie było wobec rozczłonkowania działalności funduszów i dysponentów sprawą łatwą. Także sprawa kadr, poruszona w artykule Dana, ich poziomu i wykształcenia, ruszyła w Łodzi z miejsca. Dzięki skoordynowanej akcji Wydziału Kultury i Związków Zawodowych wiemy, jakimi kadrami dysponujemy, przy czym poziom pracowników kulturalno-oświatowych znacznie się ostatnio polepszył.

Przy całym jednak uznaniu dla słusznych, pokrywających się z praktyką łódzką wniosków Dana nie sposób uniknąć pewnych „ale", które płyną ze zbyt pochopnych — wydaje się — uogólnień. Być może zresztą, że zastrzeżenia moje wynikają z pewnych niedomówień, które mogą być rezultatem wieloaspektowej problematyki przy szczupłości ram artykułu.

Czy rzeczywiście w dużych miastach, posiadających wiele placówek artystycznych, zasięg oddziaływania świetlic, domów kultury, klubów musi być ograniczony? Przecież u nas w Łodzi, nawet w śródmieściu, istnieją środowiska nie korzystające i nie umiejące korzystać z takich urządzeń, jak teatry, kina, muzea, filharmonia itp. Czy zatem podstawowym zadaniem placówek kulturalno-oświatowych nie powinno być pobudzanie zainteresowań właśnie tych środowisk? Jeśli tak, to istnienie takich instytucji, jak świetlice, kluby, domy kultury, jest chyba uzasadnione, także obok licznych placówek zawodowych (teatrów, muzeów, filharmonii itp.) A doświadczenie wrocławskich placówek, na które powołuje się Dan: słaba frekwencja, szczupły krąg oddziaływania — czyż to nie problem form oddziaływania i programu, inwencji kadr kulturalno-oświatowych, ich znajomości środowiska? Dan na to nie daje odpowiedzi, poruszając zresztą, a właściwie dotykając tylko, zagadnienia form oddziaływania i programu. A i tu raczej odwołuje się do inwencji placówek zawodowych nawołując je do wyjścia na spotkanie konsumentom. Zgoda. Ale czy w tym wyjściu na spotkanie konsumentom nie jest pomocnym, a nawet niezbędnym ogniwem praca kierownika świetlicy, klubu czy też personelu domu kultury? Pamiętajmy, że chodzi o oddziaływanie na zróżnicowane, nie zdobyte jeszcze dla konsumpcji kulturalnej środowiska. Trzeba te środowiska znać, ba, zżyć się z nimi, po to, by skierować ich zainteresowania w kierunku osiągnięć sztuki i nauki. A to tkwi raczej w możliwościach pracowników kulturalno-oświatowych, powinno być zresztą sednem ich wychowawczej pracy. Tu przy okazji drugi problem dyskusyjny. Operując materiałem wrocławskim, Dan wskazuje na słabe kwalifikacje pracowników kulturalno-oświatowych, upatrując je głównie w niskim poziomie wykształcenia. Rzeczywiście jest to sprawa istotna, niemniej ważna jest jednak społeczna postawa pracownika kulturalno-oświatowego, ten nerw społeczny, który czyni go działaczem, a sprawę awansu kulturalnego środowiska — czymś bliskim, swoim. Bez tego, bez zaangażowania osobistego pracownik kulturalno-oświatowy przy starannym nawet wykształceniu nie osiągnie wielkich rezultatów. Obdarzony tymi przymiotami, kierownik świetlicy znajdzie odpowiednie formy oddziaływania na środowisko, ożywi świetlicę nawet w śródmieściu, przekona do książki, teatru i kina, no i nie pozwoli na chałturzenie, na strawę „dla ubogich duchem". Tu właśnie, w zagadnieniu kadr, tkwi w dużej mierze załatwienie trapiących Dana problemów: celowości istnienia placówek, ich form i treści oddziaływania.

Problem upowszechnienia kultury jest tak zróżnicowany i złożony, że trudno go wyczerpać w jednym artykule, nie mam też do tego pretensji. Pragnąłbym tylko przy okazji dotknąć jednego z ważniejszych aspektów — aspektu organizacyjnego. Sprawie upowszechniania kultury poświęcają swą działalność nie tylko wydziały kultury rad narodowych, ale i zakłady pracy, związki zawodowe oraz liczne instytucje. Przy wielu gospodarczach koordynacja poczynań staje się problemem nadrzędnym, i kto wie, czy słaby postęp w upowszechnianiu kultury, na co słusznie narzeka Dan w cytowanym już przeze mnie artykule, nie jest wynikiem trudności w osiąganiu porozumienia co do form i treści działania. W naszej łódzkiej praktyce okazało się, że o wiele łatwiej jest znaleźć wspólny język na szczeblach niższych, sięgających bezpośrednio terenu, w poszczególnych dzielnicach, tam, gdzie sprawa nabiera realnych kształtów konkretnych potrzeb. Mówię o udanej, moim zdaniem, próbie zaangażowania rad dzielnicowych i większych zakładów przemysłowych w sprawę upowszechniania kultury na terenie ich działania. Konkretne postępy w koordynacji to otwarcie nowych placówek środowiskowych oraz udostępnienie niektórych, już istniejących, placówek wewnątrzzakładowych, okolicznym mieszkańcom, decentralizacja w zakresie upowszechniania kultury, doprowadzenie problematyki i oczywiście dyspozycji odpowiednimi środkami na szczeble dzielnicowych rad narodowych daje konkretne rezultaty także w postaci zaangażowania w sprawy kultury szerszego, bezpośrednio tkwiącego w terenie kręgu działaczy. Ci zaś dobrze wiedzą, czego potrzeba dzielnicy, zwłaszcza w zakresie inwestycji kulturalnych. Warto więc chyba po tej drodze kroczyć dalej.

W rozważaniach swych wybiegłem nieco poza ramy kanikuły. Ale jak to mówią ludzie, wakacje, wakacje i już po wakacjach... A potem przyjdzie żmudna, codzienna praca. Warto więc teraz — w przerwie wakacyjnej — przedyskutować niektóre z zagadnień kultury, zwłaszcza te, o które potykamy się w pracy codziennej. Może się to przydać w przyszłym sezonie.

dwa tygodniki polityki

JACEK LEBEN

BIZERTA — ZNAK CZASU

Bizerta to jednak znak czasu. Wydarzenia wokół niej ukazały jakgdyby w jaskrawym świetle jupiterów tendencje polityczne w krajach niedawno wyzwolonych, całą złożoność stosunków tych krajów z byłymi metropoliami i innymi możnymi państwami zachodniego świata, oraz rolę jaką we współczesnym świecie spełnia — świat socjalistyczny.

Któż to jest Bourquiba — prezydent Tunezji? Jego sylwetkę nie trudno nakreślić. To najbardziej prozachodni i profrancuski mąż stanu w całej Afryce. Człowiek, który wierzył w Zachód i wierzył de Gaulle'owi. W maju Bourquiba pojechał do Paryża jako mediator w sporze francusko-algierskim. On doprowadził do nawiązania rozmów między rządem francuskim a tymczasowym rządem Algierii. Prezydent Kennedy w czasie wizyty Bourquiby w Waszyngtonie wyraził się, że Tunezja wskazuje wszystkim krajom pokolonialnym właściwą drogę współpracy w ramach „Wolnego Świata". W Lidze Arabskiej Tunezja zajmowała najbardziej prozachodnią i antynasserowską pozycję.

I oto w lipcu roku 1961 prezydent Bourquiba decyduje się na gwałtowne kroki przeciwko Francji. Po odmowie ze strony Francji rozpoczęcia rokowań na temat ewakuacji Bizerty rząd tunezyjski zarządza blokadę bazy, armia francuska ripostuje błyskawicznie atakiem samolotów odrzutowych, ostrzem artylerii i moździerzy. Bizerta spływa krwią. Ta krew oczyszcza Bourquibę z grzechu sojuszu z Zachodem.

Bourquiba oczyścił się z tego grzechu z całą świadomością. Doszedł widocznie do wniosku, że jako prozachodni mąż stanu nie ma szans i perspektyw w świecie afroazjatyckim. Był przecież coraz bardziej izolowany. Wewnątrz kraju cisnęły na niego radykalne elementy patriotycznej partii Neo Destour.

Za Tunezją rozciągają się bezkresne pustynie Sahary, kryjące w sobie gigantyczne zasoby bogactw naturalnych. Rząd algierski wyraża pogląd, że cała Sahara jest częścią Algierii. Marokko, że Sahara winna być Condominium całego Maghrebu. Rząd tunezyjski natomiast uważa, że Sahara winna zostać podzielona między trzy państwa północnej Afryki wzdłuż granic państwowych tych państw.

Kiedy Algieria krwawi w walce o Saharę, Bourquiba toleruje francuzów w Bizercie i flirtuje z de Gaullem. Z tej pozycji wysuwać saharyjskie roszczenia i podkopywać pozycje walczących braci algierskich nie sposób. Bourquiba potrzebował legitymacji antyimperialistycznego czynu — tą legitymacją stała się Bizerta. Teraz i on jest bojownikiem przeciwko francuskiemu imperializmowi. Bizerta umocniła jedność świata arabskiego a w nim pozycję Bourquiby. Sam Nasser śpieszy z pomocą. Trwa licytacja, kto jest bardziej antyimperialistyczny. Na tym właśnie polega znak czasu nr 1.

Francuski tygodnik „Express" przytacza wypowiedź polityka tunezyjskiego Masmoudi. Express określa go zresztą jako człowieka „który niewątpliwie najbardziej wierzył w przyjaźń francusko-tunezyjską". „Przed Bizertą sądziliśmy, że niektóre kraje wchodzące na przykład w skład grupy Casablanki, Egipt, Mali lub Gwinea żywiły niesłuszne uprzedzenia do Francji lub Zachodu, że były to kompleksy psychologiczne. Teraz wiemy, że kraje te miały rację, znajdujemy

Dalszy ciąg na str. 8

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

Z łódzką MELPOMENĄ FLIRT i KŁÓTNIA

Z zainteresowaniem śledzę dyskusję o łódzkich teatrach. Jak zawsze są plewy, ale są i ziarna. Niektóre sądy prowokują może do sprzeciwu, niektóre — budzą moją aprobatę. Dlatego zabieram głos i dokładam swoje „trzy grosze".

Czy teatry łódzkie przeżywają kryzys? Sądzę, że nie większy aniżeli sceny w innych miastach. Rację ma Wł. Orłowski, gdy wylicza nasze osiągnięcia. Jeśli jednak wybuchła dyskusja świadczy to o niecierpliwości naszego serca — chcielibyśmy, aby było lepiej. I z tej troski a nie dla czczej rozróbki „kłócą się ludzie".

Więc kryzys łódzkiej Melpomeny? Ponoć statystyki stwierdzają obniżkę frekwencji. A jak gdzie indziej? Zapewne w najlepszej sytuacji jest Warszawa. Ale wiadomo — stolica! Tu zawsze najznakomitsze sceny i sławni aktorzy ściągali z całego kraju tłumy miłośników dramatu. W Polsce Ludowej szanse się nieco wyrównały. Mamy i w Krakowie i w naszej Łodzi i w innych teatrach prowincjonalnych szereg znakomitych aktorów, reżyserów i scenografów. Dlaczego więc w Łodzi i gdzie indziej fotele na widowni stoją puste?

Niektórzy dyskutanci upatrują przyczynę kryzysu w „chaosie programowym". Z. Nienacki z furią atakuje brak „profilu". Że niby widz nie może się do teatrów przyzwyczaić, bo wszystkie są na jedno kopyto. Teatry niby grają co się przytrafi, bez przemyślenia linii programowej żadna scena nie posiada określonego charakteru. Przypadek, łatanie dziur łatwizną, wyrywanie sobie co bardziej szałowych sztuk rzekomo zachwaszcza teatr i dezorientuje widzów.

Cały ten spór o „profile" przypomina mi znaną bajkę starego Kryłowa: zwierzęta zainicjowały kwartet muzyczny, ale koncert nie wychodził. Orzekły, że źle siedzą, że jak się odpowiednio upla suja — gra zadziwią świat.

Czy istotnie uporządkowanie repertuaru, ustalenie „profilów" uratują w Łodzi frekwencje? Muszę się z góry zastrzec, że nie jestem zwolennikiem pełnej swobody teatralnej, żywiołowości w repertuarach. Przeciwnie, sądzę, że należy wprowadzić pewne korekty, żeby rozszerzyć wachlarz propozycji, a tym samym dać widzom większy wybór sztuk i form. Może należałoby założyć teatr wodewilu, więcej miejsca udzielić komedii muzycznej, zainicjować teatr poezji na wzór teatru rapsodycznego w Krakowie, przywrócić teatr satyryków, wyraźny charakter nadać scenie „7.15". Zapewne można zmienić to i owo. Ale bardzo ściśle, nieomal bezduszne poszufladkowanie teatrów nie da radykalnego przełomu. Przypomnę, że jest to sprawa walkowana od lat kilkunastu, jak dotąd nie zdaje ona życiowego egzaminu. W latach ubiegłych, gdy los zapędził mnie do urzędu na

stanowisko kierownika referatu teatralnego Wydziału Kultury, byłem uczestnikiem namiętnych i częstych dyskusji na temat „oblicza teatrów" i rozważań na temat „dla jakiego widza gramy". Rodziło się wiele projektów i umierało z szelestem papieru. Obecna dyskusja nie jest nowa, co oczywiście nie oznacza, że nic się w teatrach nie zmieniło i nic nie da się ulepszyć. Ale z „profilami" ostrożnie, żeby nie wpaść w biurokratyczne samouosobienie. Sądzę, że tylko środowiska o wyrobionym widzu, z dużą tradycją kulturalną mogą pozwolić sobie na wyostrzenie profilu, a w Łodzi powinno chodzić o to, żeby grać jak najwięcej sztuk różnych i dobrych. Nasz widz jeszcze nie przywiązał się do danego teatru, chodzi tam gdzie grają rzecz lepszą, „ciekawszą" i weselszą. W tym samym teatrze na jednej sztuce mogą być tłumy, na drugiej pustki, zależnie od tego czy utrafiło się w ludzkie upodobania.

Zwracam też uwagę na to, że ścisłe określenie charakteru poszczególnych teatrów może wywołać w Łodzi trudności na odcinku aktorsko-reżyserskim i scenograficznym. Nie wyobrażam sobie, żeby ambitny aktor zaangażował się do repertuaru wyłącznie klasycznego albo wyłącznie współczesnego albo wyłącznie komediowego czy dramatycznego. Artysta chce mieć jak najszersze możliwości zademonstrowania swych uzdolnień.

Więc w rezultacie przeanalizowania obecnego stanu rzeczy głoszę hasło: grać jak najwięcej sztuk dobrych i różnych.

No dobrze, dobrze, prze-

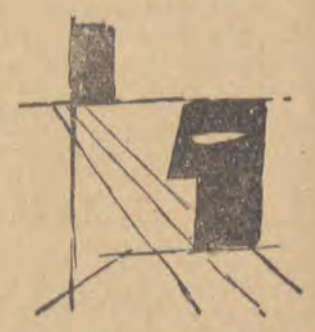

rwie mi czytelnik, ale w czym w takim razie tkwi kryzys, dlaczego widownie nie są przepełnione?

Otóż wydaje mi się, że kryzys naszych teatrów warunkują dwa zjawiska: niedomogi czyli słabość naszej współczesnej dramaturgii i nie przygotowanie popularnego widza do percepcji współczesnego teatru.

Zastanówmy się nad pierwszym zjawiskiem. Popularny widz idzie do teatru, primo, żeby się ubawić, secundo, żeby dowiedzieć się czegoś o aktualnych sprawach, o tym, co go cieszy, boli, niepokoi. Trzeba dużej kultury umysłowej, żeby zachwycać się „Akropolisem" Wyspiań-

Dalszy ciąg na str. 8

MIESZANKA FILMOWA

MARIA KORNATOWSKA

SIERPNIOWA „SAŁATKA"

Lipiec i sierpień. Sezon filmowy w całej pełni. Jeden festiwal goni za drugim. Giełda filmowa wre. Galowe projekcje i kuluarowe spotkania. Rewia gwiazd i toalet. Tłum fotoreporterów. Rezultaty tego „wielkiego targowiska próżności" ocenić będzie można nieco później. Wówczas gdy nadejdzie czas roboty, czas umów i kontraktów.

Tymczasem filmowy świat tek toczy się między festiwalowymi balami i krótkimi chwilami wypoczynku w Saint—Tropez, Lido lub na modnej ostatnio Majorce.

W Saint Tropez króluje oczywiście Brigitte Bardot, proponując wszystkim szanującym się elegantkom świata nowy styl mody — kostiumy kąpielowe jakie nosiły nasze babcie z r. 1900 i długie do kolan majteczki z koronkami. Miejmy nadzieję, że „Przekrój" nie omieszka już w najbliższej przyszłości zapoznać nasze panie ze szczegółami tego najbardziej „wystrzałowego" stylu. W międzyczasie były mąż BB, Vadim, zdążył się rozwieść ze swoją drugą żoną Annette Stroyberg. Annette, której kariera filmowa jest mocno niepewna, stara się jak może naśladować swoją sławną rywalkę, co jak twierdzą pewni niedyskretni dziennikarze, doprowadzi czasem do sytuacji ośmieszających gwiazdę. Ale nawet śmieszność nie ostoi się wobec „wielkiej" miłości. Anette po drobnym flircie z Sachą Distelem, największym „podrywaczem" Paryża i okolic przeżywa właśnie wielki romans z Oittorio Sassmanem (znanym u nas m. in. z „Gorzkiego ryżu")

Włosi robią zresztą ostatnio karierę w Paryżu, masowo podbijając serca płci nadobnej. Między innymi oglądany przez nas niedawno w „Nieznanych sprawcach" Renato Salvatori zaręczył się ze świetną aktorką francuską Annie Girardot. Piękne Włoszki nie pozostają w tyle za swoimi współziomkami. Sofia Loren rozpoczęła właśnie zdjęcia w nowym filmie Christian Jaques „Madame Sans Gene", Sofia gorliwie studiuje listy Napoleona i oświadczyła niedawno, że właściwie nie widzi istotnej różnicy między cesarzem a swym małżonkiem Carlo Ponti.

Gina Lollobrigida udała się natomiast ponownie do Stanów Zjednoczonych by wystąpić jako Paulina Borghese w potężnej superprodukcji „Cesarska Wenus". Rzec by można, że między włoskimi gwiazdami a napoleońskimi marszałkami nie ma istotnej różnicy, przynajmniej jeśli chodzi o sam fakt zawrotnej i błyskawicznej kariery.

Za oceanem bawi również popularny amant Raf Vallone, który objął główną rolę w filmie kręconym na podstawie sztuki Artura Millera „Widok z mostu". Warto przypomnieć, że Vallone stanowił jeden z wielkich atutów tej sztuki, gdy parę lat temu święciła ona swe triumfy na scenach Paryża.

MIESZANKA FILMOWA

MIESZANKA FILMOWA

W NASTĘPNYM TYGODNIU

2 STRONY MIESZANKI

MIESZANKA FILMOWA

MIESZANKA FILMOWA

MIESZANKA FILMOWA

FESTIWAL Filmów Polskich

1—30 września 1961 r.

Akurat 14 lat minęło od premiery pierwszego powojennego filmu naszej kinematografii „Zakazanych piosenek". Nie jest to co prawda data szczególnie jubileuszowa, nie mniej postanowiono właśnie w bieżącym roku zorganizować ogólnokrajowy Festiwal Filmów Polskich. Festiwal zakrojony został na naprawdę szeroką skalę i wezmą w nim udział obok kin sieci państwowej również tak zwane kina społeczne (związkowe, zakładowe). W Łodzi będą to kina: „Popularne"; „Domu Kultury Milicjanta"; „Mewa" oraz „Polesie".

Z sieci państwowej w festiwalu weźmie udział 11 kin, z tym, że dokonano podziału na rodzaje; przydzielając poszczególnym kinom filmy o określonej tematyce, lub przeznaczone dla określonego odbiorcy.

A więc na przykład w „Tatrach" wyświetlane będą przez cały wrzesień filmy wyłącznie dziecięce oraz filmy o młodzieży. W „Halce" zobaczymy komedie; a w „Młodej Gwardii" filmy o Warszawie. Ponieważ nasi twórcy mają na koncie sporo obrazów poświęconych ostatniej wojnie, wydzielono je również i będziemy je oglądać w kinie „Pokój". Interesującą produkcję krótkiego metrażu zobaczymy natomiast w „Adrii".

Dość specyficzną część festiwalu stanowi przegląd filmów Aleksandra Forda i Kazimierza Kutza. Obejrzeć je będziemy mogli w kinie studyjnym — „Gdynia". Z przedwojennych obrazów Forda zobaczymy kilka dodatków oraz „Ludzi Wisły". Niestety, nie dane było kinomanom poznać głośnego „Legionu ulicy". Zniszczoną prawie doszczętnie kopia całkowicie uniemożliwiła przeznaczenie tego wybitnego dzieła na Festiwal.

W dwu istniejących w Łodzi kinach zeroekranowych („Bałtyk"; „Polonia") oraz w dwu kinach I-szej kategorii („Muza"; „Zachęta") wyświetlane będą natomiast filmy nowe. Tak więc wrzesień będzie również miesiącem sześciu interesujących premier.

Zobaczymy zatem „Drogę na zachód"; „Dziś w nocy umrze miasto"; „Przeciwko bogom"; „Wrzesień 1939" („Tak było..."); oraz panoramiczny film Andrzeja Waidy wg powieści Kazimierza Brandysa pt. „Samson".

Może tylko — gdyby koniecznie chcieć szukać dziury w całym — byłoby niezle zobaczyć kilka ciekawszych prac studentów Wyższej Szkoły Filmowej. Z tej bowiem dziedziny obejrzymy jedynie interesujący „Koniec nocy". Ale w tym wypadku zaważyły zdaje się jakieś kompetencyjne spory. Prace studentów z jakiś tam względów nie mogą być wyświetlane w normalnych kinach.

120 filmów pełnometrażowych jakie wyprodukowała nasza kinematografia na przestrzeni 14 lat nie jest oczywiście szczytem produkcyjnych osiągnięć (daje to bowiem poniżej 10 filmów rocznie); ale zważywszy wysoki poziom naszej produkcji wierzymy, że Festiwal Filmów Polskich będzie imprezą cieszącą się dużym powodzeniem.

J. W.

MIESZANKA FILMOWA

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

„Okres próbny"

Skoro bawimy już po tamtej stronie Atlantyku nie wolno nam pominąć wydarzenia artystycznego dużej wagi. Po kilku latach przerwy wraca na ekrany Betty Davis — znakomita artystka amerykańska („Wszystko o Ewie"). Betty Davis gra rolę starej pijaczki w komedii Franca Capry „Pocket ful of Miracles". Partnerem jej jest Glenn Ford (15.10 do Yumy). Capra chce w tym filmie, będącym zresztą kontynuacją jego dawniejszego dzieła („Lady for a day"), wskrzesić specyficzny styl swoich przedwojennych komedii, pełnych wdzięku i swoistego humoru („Ich noce", „Pan z milionami").

Czym był Capra dla komedii amerykańskiej tym Rene Clair jest dla komedii europejskiej. Znakomity reżyser francuski, pierwszy w dziejach filmowiec — członek akademii rozpoczął realizację swego nowego filmu „Całe złoto świata". W roli głównej występuje popularny komik Bourvil. Akcja filmu toczy się w małym miasteczku prowincjonalnym znanym z długowieczności swoich mieszkańców. Dwaj paryscy bynessmeni pragną wykupić tereny miasteczka i urządzić tam światowy kurort. Natrafiają jednak na zdecydowany opór starego wieśniaka, właściciela ziemi. Na tym tle powstaje mnóstwo zabawnych perypetii. Po raz pierwszy chyba w ciągu swej długoletniej kariery reżyserskiej Clair kręci film w plenerze. Krytyka z niecierpliwością oczekuje nowego dzieła „mistrza".

Ponieważ latem komedia jest najbardziej poszukiwaną strawą duchową wspomnijmy jeszcze o nowej komedii włoskiej „Trzech wspaniałych" z Walterem Chiari, Ugo Tognazzi i Raimondo Vianello w rolach głównych. Film ten będzie parodią głośnego amerykańskiego westernu „Siedmiu wspaniałych" nakręconego na podstawie scenariusza japońskiego filmu „Siedmiu samurajów". Jak z tego widać, świetny film Kurosawy pozostawi po sobie żywe i trwałe wspomnienia w światowej kinematografii.

Na zakończenie warto dodać, że Włochy zawarły obecnie z ZSRR umowę o kooprodukcji i współpracy filmowej. W ramach tej umowy włoski reżyser De Santis kręcić będzie w ZSRR film osnuty na tle wydarzeń ostatniej wojny. W jednej z głównych ról wystąpi Jacques Charrier który będzie musiał znów wlożyć tak znienawidzony przez siebie mundur wojskowy.

W ostatnim okresie cechą charakterystyczną radzieckiej twórczości filmowej jest nie tylko renesans w jej poziomie artystycznym (filmy Czuchraja, Bondarczuka, Kałatozowa), ale jednocześnie szerokie rozwinięcie produkcji filmów, których twórcami są młodzi reżyserzy i operatorzy stawiający samodzielne kroki. Ich filmy cechuje skromność i oszczędność w użyciu środków, skupienie się na tematach dotyczących przede wszystkim człowieka i jego przeżyć. Władimir Gierasimow (nie mylić ze znanym twórcą „Młodej Gwardii" i „Cichego Donu" Strgiuszem Gierasimowem) sięgnął jak wielu jego kolegów po temat do literatury radzieckiej, ukazującej pełen dynamizmu okres formowania się państwa radzieckiego, a przede wszystkim tworzenia nowej społeczności socjalistycznej.

W roku ubiegłym na naszych ekranach mieliśmy możność oglądać bardzo rzetelnie zrealizowany film reż. Basowa „Okrucieństwo". Dlaczego wspominam tamten film? Otóż filmy Basowa i Władimira Gierasimowa łączy ten sam temat, łączą go również pierwowzory literackie, na których osnuto scenariusze, a mianowicie powieści Pawła Nilina, „Okres próbny" ukazuje nieco późniejsze czasy z życia młodego państwa radzieckiego. Okres NEP-u charakteryzował się wieloma trudnościami gospodarczymi, odparta interwencja zbrojna państw zachodnich, szerzącymi się przestępstwami kryminalnymi. Dwóch komsomolców zostaje skierowanych na praktykę do urzędu śledczego. Jeden z nich wiele spraw upraszcza, drugi — bardziej uczulony stara się wnikać w problemy, rozwiązywać je obiektywnie. Wątek kryminalny jest osią, wokół której toczy się akcja filmu.

I tutaj występują poważne słabości filmu Władimira Gierasimowa. Zagadka kryminalna, okazuje się mało frapująca. Śmieszne wydaje się, że reżyser dla podkreślenia różnic psychologicznych swych bohaterów kazał jednemu bać się nieboszczyków i mdleć na ich widok, a drugiemu dla kontrastu zdejmować ich z pętli. Gorzej, że filmowym autorem takich metod wychowawczych jest kierownik urzędu śledczego potraktowany w całości filmu jako doświadczony rewolucjonista. Zabrakło w „Okresie próbnym" dramatu ludzi, zastąpionego niesłusznie wyeksponowanym wątkiem kryminalnym, który spłycił konflikty psychologiczne między działającymi bohaterami. Ciągniony na siłę kryminał staje się nudny. Tak też stało się w wypadku „Okresu próbnego". Szkoda, że reżyser nie zdecydował się na rozbudowanie chociażby wątku między młodym Jegorowem, a uliczną dziewczyną, że nie ukazał mechanizmu działania jakże wtedy uciążliwego podziemia gospodarczego.

Na korzyść twórców tego filmu przemawia dość realistyczne oddanie atmosfery roku 1923., naszkicowanie ciekawych drugoplanowych typów ludzkich. Zestawiając obie adaptacje filmowe powieści Pawła Nilina zdecydowaną przewagę zyskuje adaptacja „Okrucieństwa" dokonana przez reż. Basowa — konsekwentna w ukazaniu problemów tamtych czasów, różnicująca psychologicznie bohaterów i ciekawa pod względem formy filmowej.

TADEUSZ SZEWERA

informator wczasowy

czyli

kartoteczny reportaż z morskiego Kąpieliska w Międzyzdrojach

No, nareszcie mamy poprawę w aurze. Łaskawy wyż, omijający nas przez lipiec, zahacza w sierpniu o naszą ziemię. W związku z tym i komunikaty „Wicherka" są bardziej optymistyczne. Mimo że zaliczam się do lipcowych „przegranych" wczasowiczów, odrzucam stanowczo z serca zawiść i nawet z pewną dozą przyjemności przekazuję wyjeżdżającym właśnie teraz kilka bardzo cennych rad. Być może, iż nie wszyscy zechcą z nich skorzystać, zresztą nie do każdego są one skierowane. W każdym razie proszę czytelników, by zechcieli potraktować te rady jako pewnego rodzaju „informator wczasowy", oparty na skrupulatnej dokumentacji i materiałach źródłowych gromadzonych na miejscu w czasie dni słonecznych i chmurnych ciepłych i zimnych, siąpiących kapuśniaczkiem i ulewnych.

A więc najpierw nie radzę zachowywać się na wzór owych dwudziestu tysięcy urlopowiczów i wczasowiczów, którzy „spadli" w lipcu na Morskie Kąpielisko, niby szarańcza, w ramach wczasów pracowniczych i prywatnych, campingowych petetekowskich automobilowych i motocyklowych, zleconych i niezleconych i kombinowanych, lub jak kto woli - kompletowanych parami po drodze, względnie już na miejscu. Nie radzę naśladować dlatego ponieważ oni nie myśląc o dniu jutrzejszym natychmiast wyjedli ze sklepów cały zapas kaszy jęczmiennej, tatarczanej, manny, pencaku, ryżu, butów... przepraszam — butów nie zjedli a wykupili, to znaczy: trumniaki, baleriny, podhalanki, plażowe trepki, kalipso, szpilki półszpilki, sandały i inne, których nazw ani dziennikarz nie zdołał spisać, ani ekspedientki nie pamiętały.

Nie należy ich naśladować także i z tego względu, że w Międzyzdrojach resort handlowy jest pozbawiony jakiegokolwiek odpowiedzialnego urzędnika, z tej prostej przyczyny, że takiego resortu w ogóle w Kąpielisku nie ma. Miejscowym handlem kieruje — w ramach pracy społecznej, tak zwana komisja handlu składająca się z ludzi pełniących oprócz swej pracy zawodowej — często nie mającej nic wspólnego z handlem — inne przeróżne funkcje, w efekcie więc nie mających czasu na pracę społeczną. Dlatego brakować będzie zawsze rano i wieczór masła i sera, chleba, jajek mleka i wszystkiego tego, co jest w stanie zjeść nigdy nie nasycona, podniecona nadzwyczajnym apetytem, dwudziestotysięczna rzesza „kochających" polskie morze i dostęp do niego — rodaków. Tyle bowiem jest w stanie, oprócz swoich stałych sześciu tysięcy mieszkańców, pomieścić jednorazowo perła nadmorską — Międzyzdroje. Jedzcie więc wczasowicze z umiarem, kupujcie potrzebne wam przedmioty z umiarem i myślą o co najmniej miesięcznej przyszłości swojej i swych dziatek.

Podobnie nie radzę pochopnie brać do serca wieści rozpowszechnionych przez pewnego łódzkiego dziennikarza, który raz jeden jedyny przejechał własnym „Wartburgiem" przez Kąpielisko, aby następnie w korespondencji „od specjalnego wysłannika" straszyć wszystkich ceną czterdziestu złotych za łóżko na strychu. Wprawdzie dla mieszkańców Kąpieliska, po ośmiu miesiącach chudych — kiedy to nie ma sezonu wczasowego i wszystkie domy świecą pustkami — teraz nadeszły cztery miesiące tłuste, to przecież wyżej jak 25 złociszów od łóżka nikt tutaj nie ceni. Chyba, że sami zaczniecie się „podkupywać". No, ale to już sprawa waszego rozsądku i portfela.

Najlepiej jednakże wybierać się do Kąpieliska za skierowaniem „ef-wu-pe" w kieszeni. Do „Kąsi" pierwszej, drugiej, trzeciej, czwartej i piątej... Do „Rybitwy" pierwszej, drugiej trzeciej, czwartej i piątej... Do „Błyskawicy", „Warszawianki", „Satyra", „Korsarza" do „Sorento", „Patrii", „Minerwy", do „Morskiego Oka", „Skarbu Chemika". Do mu Wypoczynkowego Politechniki, WuDeWu, „Bałtyku" względnie na wczasy zlecone pracowników Służby Zdrowia, jeżeli oczywiście ma się coś wspólnego z medycyną, by choć raz w życiu zamieszkać sobie w domu campingowym pod nazwą „Termofor" lub „Rycyna". Wówczas wyżywienie oraz łóżko z pościelą macie zapewnione.

Nikt natomiast nikomu nie może zagwarantować spokojnego snu. Jeżeli na przykład wpadnie komuś dom wczasowy w pobliżu „Agawy" — lokalu trzeciej kategorii — może się zdarzyć, że zacznie on cierpieć na częściowe zaburzenia systemu nerwowego i bezsenność. Radzę więc na wszelki wypadek zaopatrzyć się w „Meprobamat" lub lepiej — oryginalny „Miltaun",

Jeżeli jednak będziecie cierpieć nadal na bezsenność, a nie znajdziecie lepszego lokum, nie radzę w żadnym wypadku nocować nad brzegiem morza w koszach plażowych. Zwłaszcza we dwoje. Tu bowiem Em-O czuwa i jak doświadczenia wykazały nikomu jeszcze nie pomogły tłumaczenia: że „jest się małżeństwem, które dopiero co przyjechało nocnym pociągiem, że biuro wczasowe było nieczynne, a domy prywatne pozamykane, — więc co było robić". Ostatnie „przeczesywanie" plaży przez MO dało plon tak obfity, że nawet miał wpłynąć projekt do Rady Narodowej, by na wzór Łodzi i Warszawy nadać plaży nazwę „osiedla bezdomnych kochanków". Wczasowiczom, którzy uzyskali wczasy dla jednej osoby, radzę brać ze sobą dzieci. Dużo dzieci. I to w wieku do lat trzech. Swoje, nie swoje, wszystko jedno. Taki zwyczaj już się utarł, a że domy wczasowe wyglądają w efekcie niby żłobki i przedszkola, to nikogo — oprócz osób starszych — nie martwi. Wprawdzie za takiego rozwrzeszczanego i nie chcącego nic zjeść dzieciaczka trzeba na miejscu zapłacić 840 złotych, ale to się opłaca. Rozkoszne dzieciątko otrzymuje bowiem bloczki żywnościowe. Wśród prywatnych urlopowiczów wielu jest takich, którzy poszukują stołówek. Można więc bardzo łatwo wzamian za kartki żywnościowe wejść w posiadanie urodziwego adoratora względnie adoratorki. A dzieciątko i tak przytyje na pomidorkach czy morelach kupowanych prywatnie.

Radzę także wszystkim paniom — zanim zdecydują się na wiarołomstwo wobec własnego męża — wybrać się do Kamienia Pomorskiego i na własne oczy obejrzeć otwory w murach katedry. Jak wieść niesie, w dawnych czasach podejrzane o niewierność żony musiały na oczach całego miasta palcem wskazującym przewiercić na wylot gruby na jeden metr mur katedry. Przewiercila — znaczy ...cnotliwa. Nie przewiercila... wiarołomna. Jak wynika z obserwacji muru żadnej z badanych nie udało się dowieść swej cnotliwości — i jak zapewnił mnie przewodnik, nie pomogą współczesnej damie nawet ostro zakończone pazurki. Jeżeli jednak wyjeżdżająca zdecyduje się na zdradę mimo groźby wiercenia palcem muru, radzę skorzystać ze znakomitych sposobów, wielokrotnie wykorzystywanych przez naszą płeć piękną.

A więc mamusie, koniecznie powinny zabierać swe rozbrykane pociechy na każdy spacer po chodniku szumnie nazwany „promenadą" Spacerować należy do skutku. Gdy zbliża się upatrzony uprzednio pan, mamusia winna uspokajać swoją pociechę groźbą: „Jeżeli nie będziesz grzeczna, to ten pan cię zabierze! Prawda, że ją pan zabierze?" — Zaczepiony pan natychmiast zrobi groźną minę do dziewczynki a do mamusi „zrobi oko". Po czym zamiast niesfornej dziewczynki, pan zabierze mamusię na „Kawczą Górę", skąd już we dwoje podziwiać będą wzburzone fale Bałtyku.

Natomiast na plaży, gdy praży słońce, znajomość zawiera się znacznie łatwiej. Wystarczy przechodząc, opryskać wodą Bałtyku stojącą tuż nad brzegiem panią lub panienkę. Panienka początkowo piszczy, a następnie oświadcza niegrzecznemu panu, że „jest niegrzeczny" po czym „niegrzeczny" pan przeprasza bardzo ładnie panią lub panienkę i od tej pory już bardzo zgodnie oboje baraszkują albo po piasku albo w wodzie.

Podobnie ułatwione zadanie zawierania znajomości mają „nauczyciele". Jest to kategoria mężczyzn udzielająca bardzo chętnie i bezpłatnie nauki pływania panienkom od lat szesnastu wzwyż i mężatkom bezmężnym. Lekcja odbywa się przed bojami żółtymi, a więc nie grozi nikomu większe zanurzenie niż po pas. Jedną rączkę kładzie się pod brzuszek na wysokości pasa, drugą pod nóżki, pani lub panienka kilka razy macha rączkami, zachłystuje się słoną wodą i wyskakuje na brzeg. Wówczas wskazany jest lekki bieg wzdłuż plaży we dwoje — aż do wyschnięcia.

Oczywiście, po takiej lekcji pani lub panienka nadal nie umie pływać ale za to wieczorem na pewno w objęciach „morskiego pedagoga" spędzi urocze chwile na dansingu w „Aurorze" „Astorii" względnie w „Europie".

Młodzież może zawierać znajomość według eleganckich wzorów wywiezionych ze swoich rodzinnych miast. Na przykład: „Te cizia, serwus!" Albo: „Cześ koleś. Ale fajna fala no nie?" Podobnych wzorów jest dużo i zazwyczaj trafiają do celu.

Natomiast panienkom na wydaniu radzę zapoznać się — przed zawarciem znajomości — z życiem łabędzi gnieżdżących się nad jeziorami: Wicko Małe i Wicko Duże, Czajcze, Koprowo i Kołczewo. Doświadczenia łabędzie mogą one zastosować w swym przyszłym życiu. Łabędzie wolińskie płci męskiej zaliczają się bowiem do najwierniejszych mężów na świecie. Pojmują wyłącznie raz w życiu łabędzicę, a gdy ta zginie, już do końca życia pozostają w stanie bezżennym. I co najważniejsze: łabędzi mężczyzna przed ożenkiem buduje kilka a nawet kilkanaście gniazdek, spośród których szczęśliwa łabędzica zazwyczaj wybiera sobie najładniejsze.. „Łabędzie warunki" warto więc stawiać w przeddzień ślubu swojemu wybrankowi.

Nie radzę jednak nikomu wyjeżdżać na urlop lub wczasy w charakterze prelegenta TWP względnie literata — z wieczorem autorskim. Naraża się on na to samo, co „wilk morski" kapitan Bień, który opowiadał o swojej podróży do Brazylii zaledwie ośmiu osobom w świetlicy „Satyra" uciszając jednocześnie bez przerwy młodzież usiłującą zagłuszyć prelekcję grą w ping-ponga i na fortepianie. Wprawdzie w końcu jemu i dorosłym słuchaczom udało się odnieść zwycięstwo i prelekcję zakończył żegnany nawet sowitymi oklaskami, ale młodzież była bardzo niezadowolona, że tak im „zapaprano wieczór". Jeżeli więc dziennikarzu, literacie i prelegencie TWP — masz chociaż jeszcze odrobinę człowieczeństwa w sercu, nie denerwuj naszej wykształconej i wszystko wiedzącej młodzieży i nie urządzaj odczytów w świetlicy, w której ona grywa w ping-ponga i tańczy sambę lub kalipso. Po co niepotrzebnie zakłócać porządek życia, bądź co bądź „przyszłości" naszego narodu.

Przygotowując się do wyjazdu na wczasy nie zabierajcie ze sobą z domu rodzinnego nierdzewnych widelców i łyżeczek. W te akcesoria łatwo można się zaopatrzyć w domu wczasowym podczas posiłków. Zabiera się te rzeczy bez rumieńca wstydu i bez poczucia grzechu. Przeciętnie jeden turnus „pożycza sobie" noży i łyżek na sumę około pięćset złotych. W domu wczasowym „Kasia" dwa turnusy zapisały na swym koncie noży za sumę 950 złotych. Bagatelka. Wprawdzie jeden z turnusów zwrócił 450 złotych i jeszcze wręczył kelnereczkom bombonierki, a pani kierowniczce kwiaty, ale następny jadł już łyżkami i widelcami aluminiowymi Nierdzewne noże, widelce i łyżki „Gerlacha" wyjechały razem z poprzednim turnusem.

Poza tym nie wierzcie w barometr stojący obok spacerowego mola. Nie wierzcie miejscowym fotografom mimo reklamy „zdjęcie miłe, żywe, dźwiękowe, na jutro gotowe". Pijcie kawę tylko w „Czarnym Kocie" a obiady jadajcie w „Kasi". Nie starajcie się chodzić na dziką plażę w towarzystwie teściowej lub babci, ponieważ będą one miały niejakie trudności z przełażeniem przez druciana siatkę. No i koniecznie nauczcie się piosenki „Gdy mi ciebie zabraknie". To bardzo podtrzymuje na duchu w dniu powrotu do domu.

VII. WYRÓŻNIENIE W KONKURSIE „OPISANIE ŁODZI"

Dokończenie ze str. 1

Polska. Zagony żyta, łąki, przylaski, w oddali — wioska. I tylko jeden akcent niesielski. Przy szosie — poletka drzewek owocowych ogrodzone siatką. Z czasem staną tu domki, z czasem miasto je wessie. Przymknijmy oczy. To rok 1825 na Chojnach. Oczywiście stosunki społeczne, domy, pojazdy na drodze były wtedy inne. Ale funkcja urbanistyczna ta sama. Teren wiejski, zaczynający dopiero reagować na bliskość przemysłowego miasta.

Zawróćmy ku centrum, ku chwili bieżącej. Przy szosie — zabudowa typu pół wiejskiego. Rok jakiś 1840 dla najstarszej części Chojen-Górniaka. Już w granicach miasta, już w orbicie rewolucji przemysłowej (1839, pierwsza maszyna parowa w fabryce Gayera), jeszcze jednak zboża kłoszą się w opłotkach, jeszcze polne drogi udają ulice.

Wieś Józefów. Chojny na przełomie wieków. Gorączka parcelacji. Fronty domków wyznaczają zarysy przyszłych ulic na tej samej zasadzie co niegdyś na Chojnach. Ulice wąskie między domkami przyjaciół, szerokie — gdy na przeciw siebie budują się wrogowie.

Chojny z początków XX wieku oglądać można za torem. Zbudowała je chciwość dla nędzy. Gdy od nadmiaru robotników i kandydatów do włókniarskiej kariery pękać zaczęły fabryczne czworaki, tzw. famulusy i „stancje" chłonskie — kto żyw rzucił się budować pokoiki do wynajęcia. Korytarz przez całe piętro, dwa rzędy drzwi, jak w hotelu. Tak wyglądały ówczesne bloki spółki akcyjnej Towarzystwo Kredytowe Miejskie. Sklepikarze, majstrowie fabryczni zapychali podwórze oficynami w typie dzisiejszej obórki...

Dlaczego, aż tyle o dawniejszych dziejach? No bo prawie wszystko na Chojnach należy do przeszłości. Inaczej też pisać nie sposób jak w czasie przeszłym lub przyszłym. Tamta zabudowa ciągle jeszcze stoi. I nawet chodzi mi po głowie nagły wniosek, aby niniejsze „Opisanie Łodzi" odłożyć o lat 8—10. Ze względu na Chojny. Wiek XX skrada się tu dopiero, jak mąż-hulaka — w skarpetkach. Wprawdzie z najlichszych dachów wyciągają się do wielkiego świata cienkie ramionka telewizyjnych anten, ale autocysterna z wodą ma na Chojnach 73 przystanki. Jest jedynym źródłem wody dla całych ulic, łącznie z izbą wyrzeźwień na Łęczyckiej. Wprawdzie — panoramiczne kina, ale 30 proc. budynków — to straszne drewniaki, najczęściej już do remontu niezdatne. Więc się podpiera ściany i stropy, żeby postały 8—10 lat, może przez ten czas opanujemy sytuację mieszkaniową na tyle, że będziemy mogli sobie pozwolić na to, by ostatecznie runęły. Oczywiście są na Chojnach ulice nowych i najnowszych domów — Bednarska, Lokatorska, Podmiejska, ale nie one tworzą koloryt tej dzielnicy bardzo robotniczej i charakterystycznej.

* * *

Jest to rzeczywiście dzielnica robotnicza.

Robotnicza to znaczy — 60 tysięcy mieszkańców, 28 tysięcy pracuje. Dwa tysiące żyją z pracy wczorajszej, z rent. W 7 procentach, krajowej produkcji, którą Łódź wytwarza [illegible]oro jest ludzi chojeńskich.

Robotnicza — to znaczy puste za dnia ulice i puste domy. W szkołach — dzieci niechcące zostawać po lekcjach: „ojciec o trzeciej przychodzi z fabryki, a ja mam klucz od mieszkania". I pokazuje nauczycielkom — w obawie przed zgubieniem [illegible] uwiązany na szyi, razem z medalikiem.

Robotnicza — to znaczy dni długie jak Rzgowska. O 4 nad ranem goście z czarną pakują się do łóżek w Grand Hotelu. O 4 centrum chrapie. Latem i zimą o 4 wstaje nowy chmurny dzień na Chojnach. Przejedźcie się pierwszym tramwajem. W [illegible] oknach światło! Ciemne są tylko szyby na Bednarskiej, Podmiejskiej. Ludzie biur i urzędów przewracają się tam na drugi bok. W fabrykach trzecią zmianę zastępuje pierwsza. I poranki na Chojnach mają twarz niewyspanej kobiety.

Pewien instytut obliczył, że włókniarki z trzeciej zmiany sypiają 5 godzin na dobę. I jeszcze wyliczono z zegarkiem w ręku, że robotnice obarczone trojgiem (i więcej) dzieci czasem wolnego mają 2—3 minuty dziennie.

Dzielnica robotnicza... Każdy staruszek więcej wie o rozłamach w ruchu robotniczym, o taktyce strajków, o fałszywych prorokach, niż niejeden podręcznik historii. Zawsze tu ktoś krzyczał: „Na ulice", a ktoś inny: „Zachowajcie spokój" — za każdym razem lud chojeński na własnym grzbiecie brał odpowiedź, czyja była racja. Kozackie nahajki i skierowania do krajów nadbajkalskich, bagnety okupantów, i pałki „granatowych" egzaminowały z politycznej edukacji. Pomyłki kosztowały drogo.

Wyczytałem, że w 1905 roku na Rzgowskiej i Zarzewskiej wzniesiono barykady. Obywatel Wojciechowski z kolegami weteranów przy komitecie dzielnicowym pokręcił jednak głową:

— Byłem na barykadzie na Południowej, ale żeby na Rzgowskiej. To by się słyszało ...

Pamięć żywych stanowi dodatkowy wymiar. Te płaskie miejsca nabierają głębi, zapełniają się cieniami postaci, odblaskiem barw, echem dźwięków. Komin zakładów im. Reymonta. Zwykły komin. Dla obcego to najwyżej wykrzyknik: tu produkuje się ileś tam milionów metrów tkanin! Posiwiały weteran, prościeńka babcia z drewniaka pod 42 widzą nad tym kominem noc, 30 kwietnia 1906 roku. Drobna sylwetka ludzka wspina się w górę. Znieruchomiała, przywarła do muru. Nie, wchodzi wyżej. Rano zatrzęsły się Chojny. Na kominie Fabryki Leonarda zakwitł czerwony sztandar. „Boże, jak go bili tego strażnika, który wywiesił — wspomina babcia — straszliwie, nahajkami. Przymusili, żeby sam zdjął... To było w pierwszy maj po rewolucji...

Róg Zarzewskiej i Łomżyńskiej. Nijaki. Tu wyskoczyła endecka bojówka. Zabili jednego z naszych. Łęczycka 20/22. Lokal konspiracyjny SDKPiL. Bywała Róża Luksemburg.

Kryzys w dwudziestym trzecim. Na Górnym Rynku (pl. Reymonta) — salwa do tłumu, ofiary. „Jednego wciągnąłem do bramy — wzdycha uczestnik — ale na nic, skonał". Mieszają się daty, język komend i kolory mundurów szarżujących. Tylko krew ta sama została na bruku. Przy zajezdni na Dąbrowskiej (Dąbrowskiego) mieliśmy podpunkt, drogi towarzyszu — wyjawia w sekrecie konspirator, ob. Wesoły. A naprzeciw, w zakładach „Dąbrowa", wtedy Heblera prowadziłyśmy w trzydziestym ósmym strajk okupacyjny. Sześć tygodni. Matkom koleżanki przynosiły do fabryki niemow-

Ulice od Rzgowskiej jak lufy

lęta do karmienia. Wygrałyśmy wtedy.

Ulica Śląska. Co mogło się zdarzyć na Śląskiej, gdzie kulminacyjnym wydarzeniem dnia bywa przyjazd cysterny rozwożącej wodę (3 grosze wiadro).? Tędy w trzydziestym trzecim ciągnęły tłumy na słynny wiec-majówkę na Młynku. Tajniak postrzelił nam wtedy Władysława Gomułkę, związkowca. Nawet Czerwony Ryneczek przy Rzgowskiej, kiepska kopia warszawskich ciuchów ma rewolucyjne zasługi. „Dobry był — rzewnieją weterani — z chłopskiej furmanki wygodnie się przemawiało..."

— Chojny nie zmieniły się chyba specjalnie — mówię weteranom. Są dotknięci. Oburzeni:

— Nie zmieniło? Plac Niepodległości służył jako targowisko. Spójrzcie teraz — komunikacyjny pępek...

— Toż wspominałem — policja w dwudziestym trzecim ukryła się w parku Geyera, za płotem. Park był ogrodzony — wstęp za biletami...

— A ile się buduje. Wszędzie bloki, bloki...

Wiem, że tych bloków na Chojnach nie zbudowano tak wiele. W innych dzielnicach owszem, na Chojnach może 20, no 30 po wojnie.

— Tyle jeszcze ruder — zaczynam więc ostrożnie.

— Pomalutku, towarzyszu. Przyjdzie czas i na to. Ludzie u nas cierpliwi. Rozumieją, że nie wszystko od razu. Pamiętajcie, żesmy zaczynali od czytania „bibuły". Po 60 latach mamy Polskę, obóz socjalistyczny i pierwszy lot w kosmos.

— Zresztą — dorzuca ktoś inny — są na Chojnach szkoły, kina, kawiarnie...

Na to milknę zaskoczony myślą, że i tego kiedyś mogło nie być.

* * *

Nikt wielki nie urodził się na Chojnach Przed Torem. Kaluś był wielki i Dziadek — na swój sposób. Kaluś — nożownik podżgał setkę osób. Dziadek protoplasta włókniarskiej dynastii wybudował dwa domki i dwie oficyny. Ale ze sławy bandyty czy legendy ciułacza trudno ciągnąć korzyści. Nawet po wojnie ta dzielnica nie była nigdy pupilkiem władz miejskich. Bałuty były jeszcze bardziej charakterystyczne (jako twór kapitalizmu). Widzew — jeszcze bardziej robotniczy. Na nich koncentrowała się uwaga i ambicje przebudowy. „Średnie" Chojny nie wzięły udziału w pościgu za cywilizacją, zostały w dołkach jeśli wolno użyć sportowego określenia. Teraz ciążą we wszystkich statystykach

Czytamy: Zagęszczenie mieszkań w Łodzi wynosi 1,9 osoby na izbę. 1.9 — bo to Łódź łącznie z Chojnami. Gdyby wyłączyć te wszystkie jednoizbowe chojeńskie mieszkania, zajmowane przez 4-5-7 osób wskaźnik byłby znakomicie lepszy.

Czytamy: Na tysiąc mieszkańców wypada w Łodzi 6 sklepów. Tylko 6 bo na Chojnach nie wiem czy trzy wypadają.

Czytamy: Poradnie przeciwgruźlicze opiekują się 50 tysiącami pacjentów. Najwięcej adresów prowadzi na Chojny i Rudę.

— Jesteśmy świadkami przełomu — zapewniał mnie pewien działacz. — To się zmieni...

Chodzi o to, że w tym roku 60 procent nakładów inwestycyjnych miasta skierowano do dzielnic południowych. Nareszcie.

* * *

Z ważnych powodów pomijam opis przemysłu na Chojnach. Są dwa nowoczesne zakłady. Jedwabnicze przy ulicy Strzelczyka i Motoryzacyjne przy ulicy Kilińskiego. Pierwsze słyną z najcieńszych koronek i wytwornych lam, z drugich pochodzą gaźniki większości polskich pojazdów mechanicznych.

Co do reszty — fabryk wełnianych (2) i bawełnianych (4) odsyłam do opisów i fotografii sprzed pół wieku. Tylko teraz inni ludzie stoją przy tych maszynach. Przed ćwierć wiekiem zdarzały się tu natomiast historie, jak ta o godności kobiety.

Pewien majster zażądał od robotnicy by mu się oddała. Oczywiście — wzburzony mąż, skandal. Majster na to — jak się jej nie podoba i jeszcze plotki roznosi — wyrzucę. Koleżanki zaprzysięgły strajk. Dziewczynę wyrzucono, strajku nie było. Związki Zawodowe uznały sytuację ogólną za niesprzyjającą.

Jako pewne curiosum warto obejrzeć zakłady bawełniane im. Szymańskiego na Rzgowskiej. Jest to najbardziej rentowne muzeum w Polsce. Zatrudnia 1.100 ludzi, produkuje 11 milionów tkanin rocznie. Na jakich maszynach? Rozsypujące się i wciąż na nowo sklejane chodzą tu maszyny sprzed wojny. Oczywiście angielsko-burskiej. Któregoś dnia zaczną masowo umierać. Dlatego plany produkcyjne zakładom wyznaczono tylko do 1964 roku. „Potem" rozlokuje się tutaj fabryczka dziewiarska.

O innych chojeńskich fabrykach zamilczmy, chociaż i z tego powodu, że chojniacy w nich nie pracują. Jeżdżą na Bałuty. Widzew do centrum — a tamci dojeżdzają na Chojny. Może to bunt podświadomy przeciw koncepcjom urbanistycznym panów kapitalistów. Patrzysz na Górniaku: jak budowali! Tkalnia, farbiarnia, mieszkania. Dom ściana w ścianę z fabryką. To nie dom był właściwie, to była fabryczna przechowalnia siły roboczej do następnej syreny.

* * *

Ci którzy tu mieszkają od dawna. 15, 50, 70 lat Często w tej samej izbie od chrztu do pogrzebu. W księgach meldunkowych nie spotyka się prawie przebywających czasowo lub okresowo. Niepogodzeni z losem nie mają tu czego szukać. Z Chojen nie wyjeżdża się w zagraniczne podróże, nieznana jest zamiana mieszkań, tylko młodym udaje się czasem wyfrunąć do nowych bloków.

Odwiedziłem kilkanaście chojeńskich mieszkań.

Wzór nr 1: Izba. 12—16 m² oddzielona kuchnia. Mieści się piecyk żelazny z fajerkami i wiadra z wodą. Za zasłoną — pokój. Jedno okno. Główny mebel — wysoko moszczone łóżko. Na ścianach kolorowe makatki. Obowiązkowo jakaś szklana kula z kwiatami lub krasnoludkami w środku. Obowiązkowo — maszyna do szycia, kto by wydawał na krawcową.

— Zaczynaliśmy z mężem z niczego — objaśnia gospodyni.

Lokal zamieszkuje 6 osób. Jak są 4 osoby naraz — nie jest ciasno. Zięć wziął pracę na noc, a syna (za betoniarza się uczy) po całych dniach nie ma w domu.

Wieczorem wysoko moszczone łóżko wydaje z siebie sienniki i pościel. Rozkłada się je w pewnym porządku. Ci najbliżej drzwi, którzy kładą się ostatni i najwcześniej wstają.

W jednym z takich mieszkań zacząłem rozpytywać (wiem, że schematyczne): czy nikt od was gdzieś nie studiuje, nie zrobił kariery? Przecież wyższe uczelnie stoją otworem dla takiej młodzieży, domy akademickie, stypendia są właśnie dla niej. Przecież z Chojen co roku wybiera się na studia 20—30 maturzystów. Znacznie później dowiedziałem się, że z typowo robotniczych szkół podstawowych tylko garstka trafia do liceów. 17 na 74 uczniów klas VII — takie podsunięto mi statystyki. Po maturze idą — na ogół do pracy. „Owszem — odpowiedzieli mi gospodarze mieszkania — wzór 1 — córka sąsiadki uczy się na nauczycielkę. A jeden majster, robi dziesiątą klasę w szkole dla pracujących".

Może powinienem był wyszukać bardziej wymowne przykłady. Czy jednak przez to reportaż byłby prawdziwszy?

Wzór nr 2 — mieszkanie nowoczesne, sprzed wojny. Trafiają się takie na Górniaku, w osiedlach przy Bednarskiej, Lokatorskiej, Podmiejskiej.

Wzór nr 3: w nowych blokach. Standart ZOR. A jeśli chodzi o wnętrza — są to wnętrza wzoru nr 1 rozmieszczone w dwóch pokojach z kuchnią. Oczywiście nie ma wiader wypełnionych wodą i nie ma monstrualnego łoża.

Najliczniej reprezentowany na Chojnach jest wzór nr 1.

* * *

Prócz ogniska rodzinnego Chojny ofiarują swym mieszkańcom naukę i leczenie, kąpiele i rozrywki. Służą temu: 9 szkół podstawowych, 3 zawodowe, 3 licea. Kombinat otwartego lecznictwa, znakomicie wyposażony, przy ul. Kasowej (wobec braku szpitala położniczego większość rodowitych chojnian przychodzi na świat w innych dzielnicach).

Są 3 kina, 3 kawiarnie, 2 restauracje, 1 strzelnica sportowa, 2 punkty biblioteczne i 1 łaźnia miejska. To pełny rejest dóbr kulturalno rozrywkowych na Chojnach. Nie liczę świetlic fabrycznych, które użytkowane są w charakterze magazynów.

Starszym to jakoś wystarcza. Ale młodzież zwłaszcza ta, której zabrakło miejsca w szkole średniej, a do pracy nie może się dostać — nie wyżyła się jakoś na 25 zabawach zorganizowanych w zeszłym karnawale na Chojnach. Ta młodzież szuka swego miejsca. Część trafia niestety do gangów towarzysko-chuligańskich nawiązujących do tradycji Kalusia-nożownika i przedwojennej maksymy: Bałuty i Chojny to naród spokojny. Milicja zlikwidowała kilka miesięcy temu koedukacyjne grupy „Górniak", „Chojny", „Wólka". Zrobiono to pod zarzutem nielegalnego zrzeszania się.

W kawiarniach „Jubileuszowa" i „Papuga" przegrupowują się na nowo niedobitki.

Trochę pod wrażeniem owych gangów kilka fabryk na Chojnach postanowiło urządzić wspólnym sumptem prowizoryczny dom kultury.

* * *

Przyszłość dotąd przechodziła bokiem, jak deszcz nad biedniacką wioską. Teraz dopiero zaczyna się stan oblężenia. Nie budownictwo zaczyna otaczać Chojny przed ostatecznym szturmem na rudery i szpetotę. Umacnia się istniejące przyczółki w rejonie Bednarskiej, Lokatorskiej, Podmiejskiej. Od strony Rudy wkroczy bliskie już osiedle Kurak. W tym roku wypiętrzą się pierwsze bloki ogromnego osiedla Dąbrowa Zachodnia w rejonie ulicy Literackiej. Już rozpisany — konkurs na zabudowę rejonu ulic Malczewskiego i Odyńca. Drugi konkurs — na plac Niepodległości. Trzeci — na osiedle domków jednorodzinnych przy Łęczyckiej. Czwarty — na zabudowę Czerwonego Ryneczku.

To prawda: Chojny i ich problemy zostaną w środku. Ale przez ten środek już teraz przedzierają się ku nowym osiedlom wodociągowe i kanalizacyjne trasy. Szansa dla Chojen. Na uzbrojone ulice łatwiej się wciśnie budownictwo współczesne. Zresztą już się rysują wyraźne ciągi nowej zabudowy np. od Kuraka po Dąbrowę. To jakby nowe osiedla podawały sobie ręce poprzez gąszcz ruder. Kliny nowego budownictwa, arterie zaplanowane rozćwiartują Chojny bud i ruder na drobne kawałki. Wtedy szybciej — mielmy nadzieję — stopnieje kra czarnych, pogiętych dachów. A Chojny podzielą los Bałut czy Widzewa, pozostaną dzielnicą bardzo robotnicza, lecz bez dzisiejszej egzotyki.

Więc jak? Odkładamy „Opisanie"?

JERZY SZPERKOWICZ
Zdjęcia: ANDRZEJ RZEPA

Podstemplowany dom na ulicy Karpia

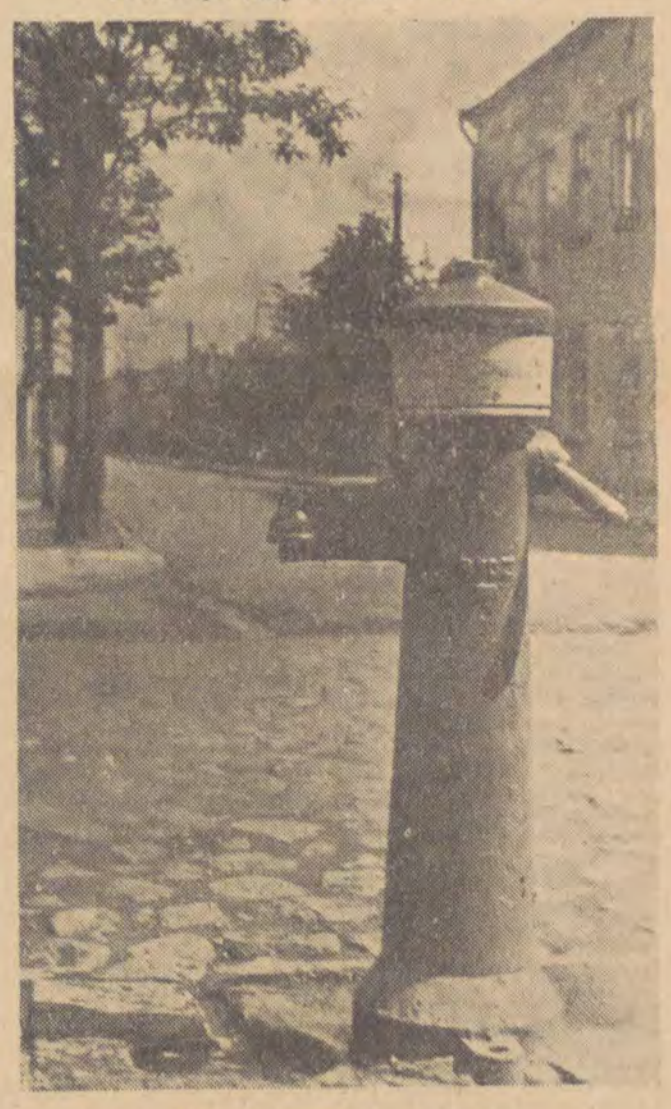

Hydrant zaopatruje całą ulicę

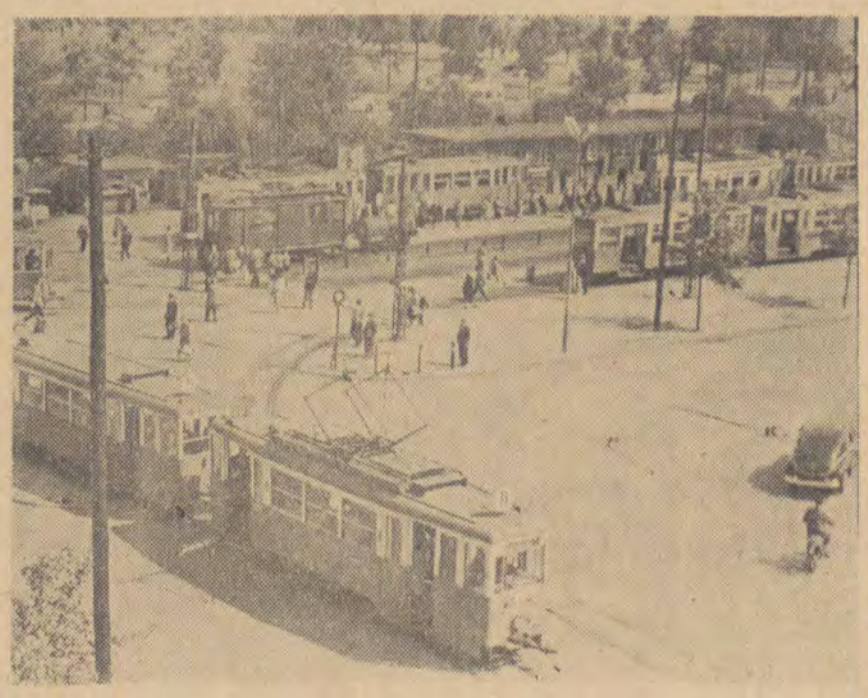

Węzeł komunikacyjny na pl. Niepodległości

ul. Dachowa

WSZYSTKIE DROGI PROWADZĄ DO MOSKWY

Automaty znakomicie obsługują spragnionych. Woda gazowana czysta lub z kilkoma gatunkami soków owocowych płynie po wrzuceniu monety

Dalszy ciąg ze str. 1

pozwalają wyprzedzać i z lewej i z prawej strony!

Trzy dni wędruję po tym mieście i widzę tylko jeden wypadek spowodowany zresztą przez motocyklistę. Tych na szczęście jest tu niewielu, tak samo jak „skuterzystów". To głównie pojazdy radzieckiej prowincji. W Moskwie króluje samochód i mister mody w tym gatunku mały zgrabniutki „Zaporożec", podobny do „Fiata-600", może odrobinę większy. Mniejszy od „Zaporożca", jest mikro samochodzik dwuosobowy przeznaczony dla inwalidów posiadający zblokowane przy kierownicy wszystkie urządzenia sterownicze. No, poza tym masa „Wołg" prywatnych, luksusowe limuzyny „Czajka", autobusy, trolejbusy, setki wozów zagranicznych.

W pierwszej chwili odnosi człowiek wrażenie, że utonie z kretesem w tym warczącym morzu. Ale oto milicjant w niebieskiej koszuli z czerwonymi pagonami czuwa nad ruchem z tranzystorowym megafonem w dłoni. W Moskwie w ogóle nie myśli się o przejściu jezdni w miejscu nie naznaczonym „zebrą", choć są one odległe od siebie nie raz i 200 metrów. Stąd też wypadków powodowanych przez pieszych jest bardzo mało. Nie ma też skoków do tramwaju czy trolejbusu, bo drzwi zamykają się automatycznie. Jakkolwiek wypadków nie jest wiele to zwraca uwagę ogromne nasilenie propagandy przestrzegania przepisów ruchu ulicznego. Na ten temat świecą olbrzymie neony. Mówi radio, prasa zamieszcza hasła, w końcu milicjanci ze swymi megafonami też robią swoje, potrafią zawstydzić każdego śmiałka, uratować każdego roztargnionego, który wlazł w sam środek jezdni i umarłby tam pewnie z głodu. Milicja moskiewska pracuje, w przeciwieństwie do niektórych naszych polskich funkcjonariuszy bardzo dyskretnie. Pobranie mandatu nie jest tu nigdy ulicznym widowiskiem choć w trakcie tej czynności odbywa się pouczanie, wyjaśnianie itd. Tak samo pełnienie służby na ulicy nie ma cech naszej oficjalności. Milicjant ubrany lekko i wygodnie stoi sobie dyskretnie gdzieś z boku, co nie przeszkadza mu wszystko widzieć i w razie potrzeby interweniować. Ale co kraj to obyczaj. Pod tym względem metody działania milicji radzieckiej zbliżone są do policji francuskiej i brytyjskiej.

Jest niedziela. W Moskwie oznacza to dzień zakupów. I dla ludzi z miasta i dla tych co pociągami zjeżdżają tu z odległych nieraz o kilkaset kilometrów wsi i miasteczek. GUM czyli nasz PDT, tyle że z kilkadziesiąt razy większy, jest zapełniony po brzegi. Widoki niebywałe! Skromnie, niewyszukanie ubrani mężczyźni kupują aparaty fotograficzne najwyższej klasy. Na razie nie bardzo umieją się z nimi obchodzić. Widząc, że fotografuję jakąś scenkę podchodzi do mnie młody żołnierz. Kupił „Zorkę" nie wie jak założyć film, jak ustawić obiektyw, czas. Tłumaczę, jest pojętny, miły, składał na aparat kilka miesięcy. Ale jakże to młody chłopak pojedzie do dziewczyny bez fotokamery? A po nim już cała kolejka. Starsze małżeństwo prosi o pomoc i instrukcje. On jest profesorem uniwersytetu, ale nigdy nie miał do czynienia z fotografią. Pytają, czy dobrze zrobili wybierając aparat stosunkowo niedrogi.

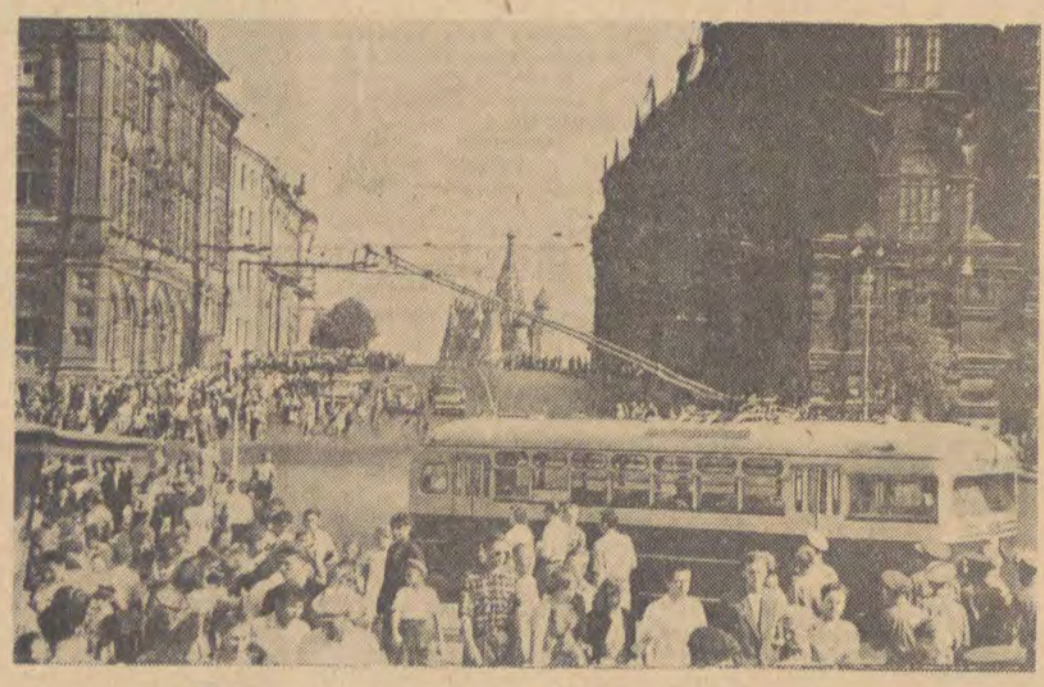

Ulica moskiewska. Widok na Sobór, Wasyla Błażennego

— O tak — wołam — bo widzę właśnie przy ladzie Polaków. Ci sieją tu prawdziwe spustoszenie.

— Dla mnie pani będzie uprzejma trzy „Fedy", dwa „Zenity"...

— Z jakim obiektywem — pyta ekspedientka.

— Ach, to wszystko jedno — odpowiada nasz fotoamator.

Największym jednak powodzeniem cieszy się w GUM dział lodówek, telewizorów, gramofonów i radioodbiorników. Wszystkie te rzeczy, jak wiadomo, są wyprodukowane na poziomie światowym.

Wieczorem tego dnia dworce moskiewskie przedstawiać będą niezwykły widok. Całe rodziny, które zjechały do Moskwy na zakupy, czekają na swój pociąg siedząc na górach skrzyń: lodówka, telewizor, radio, torby z innymi artykułami... W dużych miastach jest tego pod dostatkiem, na prowincji natomiast nie ma potrzebnej liczby sklepów. A więc nic na pokaz. Możliwości radzieckiego przemysłu są tu najlepszą gwarancją, tylko dystrybucja trochę w terenie nawala, stąd te podróże do Moskwy, Leningradu, Mińska... Podróże w gruncie rzeczy pozytywne.

Pociągi odjeżdżają. Zapada wieczór. Moskwa rozpoczyna swe nocne życie. Jeśli z pojęciem tym kojarzy się komuś np. nocne życie Paryża, to śpieszę wyjaśnić, że te rzeczy nie są tu absolutnie dominantą, choć pod wielkimi hotelami można to i owo spotkać. Króluje natomiast teatr i kino. W Teatrze Wielkim występy baletu Opery Królewskiej z Londynu — „Śpiąca królewna" Czajkowskiego. Biletów oczywiście nie ma nawet na lekarstwo. A więc stereokino! Na niedużym szklanym ekranie oglądam film pt. „Kolorowe kamienie". Treść nie jest tu najważniejsza, choć problem nowobogactwa w tym kraju już wydaje się być godnym uwagi. Oto młody naukowiec, kawaler, ma własną „Wołgę" którą wyjeżdża na plażę, ma drogi aparat fotograficzny goli się (oczywiście w samochodzie) elektryczną maszynką, a jest w ogóle lowelasem i uwodzicielem młodej dziewczyny łasej na dobra współczesnej techniki. W filmie tym, trwającym tylko godzinę interesująca jest strona techniczna. Stereokino ma być kinem przestrzennym, dającym złudzenie dużej głębi obrazu. W istocie po części to się udaje, tak samo dobrze widać plan pierwszy, drugi jak i maleńkie postacie planu dziesiątego, ale nasuwa się pytanie czy właśnie w filmie fabularnym taka technika ma sens? Fabuła posługuje się raczej eliminowaniem z obrazu rzeczy mniej w danej chwili ważnych. Inna sprawa w filmie krajoznawczym. Ale ponieważ stereokino jest jeszcze w stadium eksperymentu, ma wiele niedoskonałości, męczy wzrok (stąd seanse godzinne) przejdźmy nad nim do porządku. Natomiast inna metoda — mianowicie circarama prezentowana na Wystawie Narodowego Dorobku ZSRR szokuje absolutnie, zachwyca bez reszty. Sala kina jest okrągła, wysoko na ścianach kręgiem kilkanaście osobnych ekranów. Projekcje z wielu kamer umieszczonych powyżej. Dźwięk stereofoniczny. Pokazują nam reportaż z Festiwalu w Wiedniu.

Jedziemy samochodem wzdłuż Dunaju. Przed nami droga. Odwracasz się w lewo, widzisz mijane drzewa, odwracasz się w tył, wszystko ucieka, pozostaje za tobą. Teraz wycieczka po Wiedniu. Jesteś naprawdę w samym środku miasta. Jeśli na prawo opera, to na lewo... ależ tak ten znany ci neon, a z tyłu, a po prawej... — Złudzenie autentyczności absolutne. Technika doskonała.

...Technika doskonała. To zdanie powtarzasz raz jeszcze w Pawilonie Akademii Nauk ZSRR oglądając makiety, modele, i autentyczne rakiety, które penetrowały kosmos. Tu zachodnich turystów jest najwięcej. Tu czy chcą czy nie chcą muszą uwierzyć w potęgę kraju, który rozpoczęli zwiedzać z ironicznym uśmieszkiem.

TEKST i ZDJĘCIA

WIESŁAW MACHEJKO

W Galerii Tretiakowskiej

Wejście do GUM

HENRYK ANDERS

LASY SĄ BEZPIECZNE

Wiesław Jażdżyński

Jakże zawodna jest pamięć. Po orbitach krążą kosmonauci, mocarstwa się zbroją, w Algierii szaleją ultrasi. Nic to. Urodzi się trzydziestomilionowy obywatel, są wakacje, lato kaprysi, czas kończyć żniwa, dzieci hałasują po polach i lasach: lasy są bezpieczne. Wystrzegać się trzeba tylko własnej nierozwagi. W morzu i w bajorze tonie się jednakowo. Pogrążony w żywiole odczuwasz namiętnie rozkosz i strach, ale czym jest ów żywioł, czy potrafisz ocenić? Właściwy kształt rzeczywistości spostrzega się dopiero z pewnego dystansu. Truizm to oczywisty, ale jakże bez niego się obejść, czym uzasadnić fakt, że niektóre książki — jak „Śniegi płyną" Bratnego, jak opowiadania Jażdżyńskiego—nie mogły by ukazać się wcześniej. Jakże zawodna jest pamięć, jakże niedawno działo się to wszystko i jak trudno uwierzyć, że to nie powieściowa fikcja, ale fragment — okrutny fragment — naszego własnego życia.

Lasy są bezpieczne. Od tego zdania mógłbył Jażdżyński rozpocząć i wówczas, być może, powstałaby powieść. Temat — chociażby przez analogię z „Komu bije dzwon" — aż się o to napraszał: szeroka panorama przestrzeni i czasu, kraj zniszczony przez najeźdźcę, zwycięstwo okupione milionami ofiar, życie kiełkujące na zgliszczach i na tym tle tragiczna, absurdalna próba powstrzymania biegu dziejów. Nieubłagana logika wydarzeń: wojna domowa wyradzająca się rychło w pospolitą gerylasówkę, jej socjalne podłoże, psychologiczne motywacje.

O czym myślał Warszyc, organizując podziemie? Na co liczył? Na trzecią wojnę światową? Na przewagę dobrze uzbrojonej, zaprawionej w akcjach bojowych partyzantki nad rekonstruowanym w najcięższych warunkach aparatem władzy ludowej? Na poparcie społeczeństwa? Zdawał sobie przecież sprawę, że partyzantka może egzystować i działać jedynie w oparciu o szerokie zaplecze, że zaplecze takie powstaje tylko wówczas gdy przeważająca większość narodu wyznaje tę samą ideologię — po wyzwoleniu tego atutu nie posiadał — i że czas pracuje na jego niekorzyść: stopniowo, w miarę stabilizacji stosunków, topnieć będą szeregi jego zwolenników, a siły przeciwnika wzrosną. Ludzie byli zmęczeni, kraj potrzebował jak nigdy spokoju, a on rozpętywał terror. I musiał przewidywać— tego wymaga się od dowódcy — że im sroższy będzie terror, tym gwałtowniejsze spadną represje, że podsyca tylko obustronną nienawiść i wpędza swoich podwładnych w sytuację bez wyjścia. Że rekwizycje zamienią się wkrótce w ordynarną grabież, a „legalne" wyroki podziemnego sądu egzekwowane przez „zarażonych śmiercią" w krwawe porachunki osobiste.

A o czym myślał Murat przez długie godziny, osaczony w bunkrze, świadomy, że nie przebije się, ani ucieknie? I dlaczego dał się wziąć żywcem? Nie brakowało mu przecież odwagi.

Pod dostatkiem miał także autor wątków sensacyjnych: współczesnie „dzikie pola" i współcześni zagończycy, rzekomy londyńczyk, przenikający w podziemie niby tajny detektyw z powieści kryminalnej. Nie jest rzeczą recenzenta rozważać, co byłoby, gdyby... Jażdżyński zdecydował inaczej — wyrzekł się hipotetycznych „dusznych" medytacji, kazał przemawiać faktom, pragnął zachować autentyzm, sytuację dokładnie umiejscowił już w pierwszym zdaniu: wybrał formę opowiadań. Może zresztą miał rację. Zbyt często losy bohaterów powieści przesłaniają przeciętnemu czytelnikowi istotę sprawy. Jażdżyński pragnie pokazać, jak nieuniknione mechanizm dziejów przekształca etapami wojnę wszczętą z przesłanek klasowych, wojnę o ideologicznej podbudowie w zwykły bandytyzm. Warszyc jest — przynajmniej we własnym mniemaniu — wodzem powstania, tworzy armię, pisze manifesty, odwołuje się do narodu, szuka sprzymierzeńców za granicami państwa. Murat walczy już tylko o przetrwanie, ale jeszcze próbuje zasłaniać się argumentami politycznymi. Kuba i Szatan nie potrzebują już nawet pretekstu. Mirys jest tylko pospolitym bandziorem. Tę myśl przewodnią widać nawet w kompozycji książki: na całość składają się trzy opowiadania ilustrujące poszczególne etapy walki z podziemiem. Opowiadania są nierówne. Rozmiarami i nie tylko rozmiarami. Pierwsze, tytułowe, najdłuższe buduje autor na zasadzie montażu filmowego. Poszczególne sekwencje — epizody — ukazują nam mechanikę prowadzonej z dwóch stron walki podjazdowej: akcje polityczne i bandyckie wypady oddziałów leśnych, kontrakcje milicji i wojska, starcia i formalne bitwy, narady sztabów, działalność wywiadów, dyskusje i przesłuchania. Sylwetki bohaterów rysuje autor kilkoma tylko kreskami, mocno i przejrzyście. Zdecydowanie czarnym charakterom, odpryskom społeczeństwa, których do podziemia zagnała chęć użycia lub dawniejsze niebagatelne przewiny, przeciwstawia ludzi wiernych idei, posłusznych rozkazowi, wątpiących i cierpiących, ludzi zdolnych do refleksji i pragnących powrotu do normalnego życia. Komuniści również są różni: silni i słabi, zajadli i wyrozumiali. Jażdżyński, choć występuje bez reszty przeciwko reakcji, stara się zachować obiektywizm, względnie sprawiedliwie rozważa racje obu stron. I jeśli nawet nie wszystkie epizody i nie wszystkie sylwety są prawdziwe, prawdziwa pozostaje ogólna atmosfera owych nieszczęsnych lat. Nie zawsze, nie w każdym przypadku tak być musiało, ale trafne jest uogólnianie, a więc dzieła sens nagłębszy. Opowiadanie drugie, „Polowanie na Murata" byłoby najlepszą częścią książki, gdyby autor postawił kropkę w momencie ujęcia przestępcy. Epizody końcowe są nie tylko słabsze, osłabiają napięcie z jakim akcja narasta do punktu kulminacyjnego. Niepotrzebnie również autor wplata w tok opowiadań dialogi, rozwadniają one kapitalną w swej zawartości i jedności relację narratora. Beletryzacja tej partii wydaje się artystycznie nieuzasadniona. Za to wspomnienia oficera UB są rzeczywiście odtworzone doskonale.Niby muzyczne recitativo rozwija się monolog człowieka, który — opowiadając — po raz drugi przeżywa na gorąco owe niezapomniane chwile, który mówi pozornie beznamiętnie, a przecież pod maską czuje się, aż do skurczu serca niewyrażalne w słowach napięcie. Sama zresztą postać narratora zarysowuje się niesłychanie plastycznie, chociaż Jażdżyński nie stara się go nawet opisać.

„Lubię wyglądać przez okno, stojąc za firanką. Życie ma jakiś rytm... Najpierw wyjeżdża na pierwszy kurs taksówka. Prywatna. Właściciel miał kiedyś dwie sprawy walutowe, ale się wykręcił... Potem widzę zazwyczaj dwóch robotników... Ten wyższy miał podobno chować jakiegoś bandytę w 1945 roku, ale jak co do czego przyszło, nie było dowodów...".

Czy można lepiej odmalować psychikę wywiadowcy?

Opowiadanie końcowe jest najkrótsze, najsłabsze i chyba niepotrzebne. Autor zamyślał skonstruować całość w rodzaj tryptyku, ale powinien był raczej rozbudować w trzeciej części wątek Chowańskiego i Szatana, uzupełniając je ewentualnie epizodem Mirysa. To, co tu pokazał, nie wiąże się w logiczną całość, poszczególne fragmenty są sztucznie ze sobą spojone. I ludzie są jacyś tacy drewniani. Gdy chcą zabrać głos muszą się przedstawiać. Szkoda.

Bo jednak książka nie tylko wywołuje silne wrażenie, nie tylko gładko się ją czyta. Pozostaje w pamięci. I to chyba jest najważniejsze. Tę książkę trzeba przeczytać, choćby po to, żeby w duchu podyskutować z autorem. Powinno ją, jak myślę, przeczytać przede wszystkim pokolenie najmłodsze, dzisiejsi siedemnastolatkowie, którzy nie chcą, i nie mogą, zrozumieć swoich ojców i starszych braci. Dla których tamte lata to było „dawno i nieprawda". Niech że je zrozumieją, jako groźne „memento".

Wiesław Jażdżyński: Umarli nie składają zeznań. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź, 1961.

TADEUSZ GIERYMSKI

MUSZLA

W tym wierszu, gdzie schną wióry słońca
I amfory dojrzałe oświetlają barok,
Sokrates nie ma ochoty umierać,
Nie ima go się trucizna, ni zachęta widzów.
Przeciwnie, założył na łysą palę koźlą skórę
I dławi się zielonym śmiechem ziemi:
Tak otwiera się forum dawnych filozofów,
Klasyczność jest jastrzębiem zamkniętym w bursztynie.
Szperasz w tysiącleciach, jesteś sową,
A tłum machorkę skręca i ciska zgnilkami.
Spadają grudy atonalnych dźwięków,
To tak się właśnie poszerza historia muzyki.
Mozart wcale nie musi przewracać się w grobie,
Ani burzyć anielskich pukli, które dworne damy
Wtykały za pazurki pierścionków. Jak jabłko umierasz.
Wycieka z ciebie muza, ta z pożółkłej karty,
Której cień jeszcze czujesz na wierzchołku palców.
Więc nie jesteś Atlasem ni księciem żebraków,
Wiesz więcej, niż potrafisz. To zatraca słowa
I porównać tak trudno rzecz do prostej rzeczy.
A jednak kolor tych pagórków porośniętych wrzosem
Jest jak różowa kruchość, jak amulet oczu.
Dotykasz oczu wodą, przemywasz je wodą,
Przechodzą przez ciebie ludzie jak przez belgijskie szkło.
Możesz z nimi rozmawiać, dotknąć włosów z powietrza
Wiesz, jesteś oddalony od rzeczy jak tło.
Płatkami sypie sezon, mówi wnętrze muszli,
Jasność i ład bierzesz z epoki, która
Była jak gawot zakrzepły w półtakcie.
Każda epoka uwalnia gołębie. Każda
Daje wolność. I każda odchodzi.
Ogromne słoneczniki ślepną zaś od słońca.

* * *

Nic się nie zdarzy. Czas przez korę ciała
Przenika wolno jak krew poprzez bandaż.
Tylko horyzont będzie się odsuwał,
Aż sam zostaniesz w poszerzonym kręgu.

Ptakom chłód zamknie skrzydła, odwłoki owadów
Zatarasują drogi jak łuski z pocisków.
Odłożysz mądrą książkę i zapragniesz życia,
A znajdziesz mrówkę na kamieniu.

MARIAN PIECHAL

Z podróży po Jugosławii

TRZY BELGRADY W JEDNYM

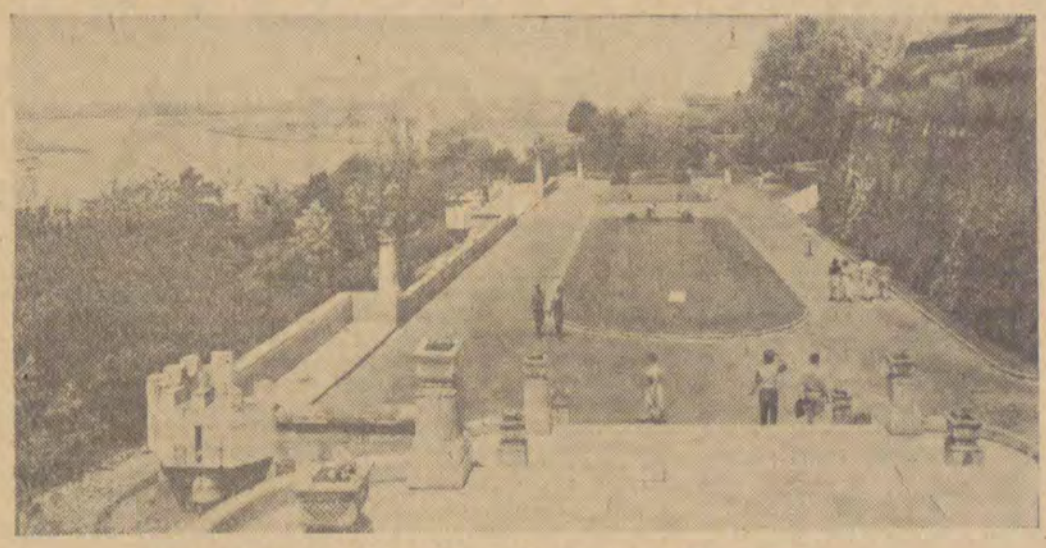

Kalemegdan — ujście Sawy do Dunaju.

Jedyną słowiańską stolicą nad Dunajem (nie licząc Bratysławy) jest Belgrad. Czterokrotnie mniejszy od Budapesztu i tyleż prawie od Wiednia, najbardziej przypomina Warszawę. Chociaż jest od niej przeszło dwa razy mniejszy. Dzieje Wiednia i Budapesztu sięgają czasów starożytnych, jako rzymskie twierdze — Vindobona i Aquincum. Słowiańskie miasta, prócz Kalisza (rzymska Calisia), są stosunkowo młode, dzieje ich sięgają zaledwie średniowiecza — tak się ma sprawa właśnie z Warszawą i Belgradem. To średniowiecze jest jaskrawo widoczne w niektórych częściach miasta, zarówno Warszawy jak Belgradu i nadaje im charakterystyczną cechę wspólną, oczywiście z pewnymi lokalnymi odmianami. Długie lata niewoli narodowych zostawiły w obu stolicach swoje jaskrawe ślady, choć niepomiernie większe w Belgradzie. Ale o tym nieco później, bo nie to wszystko, co się dotąd powiedziało, przypomina w Belgradzie Warszawę.

Belgrad przypomina naszą stolicę przede wszystkim w tempie odbudowy i w rozmachu planowanej rozbudowy. To ponad wszystko rzuca się w oczy. Średniowiecze i niewola giną i zanikają po prostu coraz bardziej przycupnięte do ziemi, zapadające w nią coraz bardziej, w otoczeniu olbrzymich bloków, monumentalnych budowli, nowoczesnych wieżowców i innych urbanistycznych objektów. Zaplanowane są nowe dzielnice i przedmieścia z naturalnym przemieszczeniem dotychczasowych ośrodków centralnych, ale oczywiście — podobnie jak u nas — z uwzględnieniem należnego pietyzmu dla zabytków, tradycji i historii. Ale poza tym, to we wszystkim innym Belgrad różni się od Warszawy wprost diametralnie. W czym?

Ano w tym... Zaraz... Jakeśmy z Warszawy wyjechali samolotem o godzinie 10 rano przy pięknej pogodzie dnia 6 czerwca, było coś około 20 stopni ciepła. W ciągu dnia mogła temperatura wzrosnąć do 25 stopni. W Budapeszcie, gdzieśmy zrobili godzinną przerwę, było pochmurno i zaledwie 15 stopni ciepła. Ale po półtorej godziny lotu znaleźliśmy się wśród zaiste że kryształowej pogody w Belgradzie, gdzie był upał, nie — żar po prostu — prawie 40-stopniowy. W ciągu czterech godzin lotu ta wielka różnica temperatury uprzytomniła każdemu z nas zmianę geograficzną tak niewątpliwie, że już i większa jaskrawość odblasków słonecznych, bijąca od lustrzanych smug Dunaju i Sawy, obejmujących błyszczący również jak złotawy kamień Belgrad, nie dziwiła nikogo.

Warszawa jest płaska i rozległa, bo leży (dlaczego nie: stoi?) na równinie, Belgrad zaś jest, że tak powiem, wypukły i skupiony, a więc bardziej plastyczny z profilu, bo leży na pofałdowanej wyniosłości w miejscu, gdzie Sawa wpada do Dunaju, zamknięty od strony otwartej szeregiem zielonych wzgórz, do 250 m wysokości dochodzących. Z pomiędzy tych wzgórz wypływają liczne strumyki, które przecinając przedmieścia, opływają i obmywają niejako główny i najwznioślejszy trzon przedmieścia, uchodząc bądź do Sawy, bądź do Dunaju.

Narzekaliśmy przed wojną na zbyt przykre i monstrualne pozostałości niewoli w naszych miastach, a zwłaszcza w stolicy, jak choćby Cytadela, fatalne rozplanowanie urbanistyczne, zabudowa ruderami śródmieścia, mała przelotowość głównych arterii itp. Ale dziś w nowej Warszawie te ślady niewoli miną na oczach, jak sen koszmarny. W Belgradzie, niestety, jest inaczej. Pewnych

Dokończenie na str. 11

CACKO *na* WIDZEWIE

Niedawno minęły dwa lata od chwili kiedy zaczęto myśleć o nowej, pięknej Szkole Tysiąclecia na Widzewie. A dziś już możemy się szczycić jednym z piękniejszych obiektów Łodzi. Szkoła Tysiąclecia, której fundatorem był Łódzki Związek Spółdzielni Spożywców „Społem" — już stoi. Nosi ona imię jednej z najaktywniejszych działaczek ruchu robotniczego Widzewa — Tekli Borowiak. Ów piękny obiekt (widać to chyba na zdjęciach) projektowany przez znanego architekta inż. Herburta pomieści Liceum Ogólnokształcące oraz Technikum Handlowe. Setki młodzieży uczyć się będą już od września w pięknych, przestronnych klasach, w szkole, która jest nie tylko cackiem architektonicznym, ale i plastycznym.

Tak jest. Otóż udział łódzkich twórców w wystroju plastycznym szkoły im. Tekli Borowiak jest naprawdę olbrzymi. Siedmiu znanych malarzy (przeważnie profesorów Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych) zaprojektowało interesujące, sugestywne elementy plastyczne. Przede wszystkim uwagę zwraca ogromne centralne panneau, będące dziełem prof. Mariana Jaeschke. Dalej idą portretowe prace (Curie Skłodowska, Chopin, Kopernik) Zdzisława Głowackiego, Albina Lubniewicza i Zdzisława Sikorskiego.

Szkoła, jak się rzekło, jest piękna. Ale ważne jest również co innego. Łódzcy twórcy ujawnili, że plastyka użytkowa nie jest dla nich ziemią nieznaną. Poza tym okazało się, że współczesna forma plastyczna zaprezentowana przez naszych malarzy (będąca zresztą wynikiem wieloletnich doświadczeń) nie jest wcale tak niezrozumiała, jak się nieraz powszechnie sądzi. Okazało się, że tak zwana nowoczesność może być środkiem wyrazu zrozumiałym dla każdego.

Szkoda tylko, że nie zrealizowano pomysłu prof. Zdzisława Głowackiego, który jest autorem dwu interesujących projektów na front szkoły. Zwłaszcza, że od strony parku znajdują się (o wiele mniej eksponowane) dwa podobne panneau. Ale jest to oczywiście drobne nieporozumienie, które mamy nadzieję, zostanie przecież wkrótce wyjaśnione.

J. W.

Zdjęcia Eugeniusz Kudaj

BIZERTA — ZNAK CZASU

Dalszy ciąg ze str. 2

się na tych samych pozycjach co one. Wracam właśnie z Chin i z Kairu, gdzie odkrylem kto jest rzeczywiście z nami solidarny. WALKA Z KOLONIALIZMEM TWORZY PEWNĄ CAŁOŚĆ, JEST TA SAMA W CAŁYM ŚWIECIE. Jeśli Francja nie zdecyduje się ewakuować Bizerty, walka rozgorzeje na nowo, czy tego chcemy czy nie".

Powtarzam za Masmoudi — walka z kolonializmem tworzy jedną całość. To właśnie decyduje, że ani W. Brytania ani Stany Zjednoczone nie mogą być sojusznikiem prozachodniej przecież Tunezji przeciwko Francji. Musiały odtrącić Tunezję. Uczyniły to niewątpliwie z bólem serca, ale przecież wraz z Francją ciągną one ten sam wóz, a na tym wozie i konflikt berliński i NATO i „Wspólny Rynek", dziesiątki innych współzależności.

Emisariusze Tunezji jeżdżą teraz nie po Londynach i Waszyngtonach, ale odwiedzają Pekin, Moskwę, Warszawę i Pragę. Świat socjalistyczny poparł żądania Tunezji. I to jest znak czasu nr 2.

Zbiera się nadzwyczajna sesja Narodów Zjednoczonych w sprawie Bizerty. Jeszcze przed trzema tygodniami wydawało się, że Tunezja nie zbierze 50 potrzebnych głosów do zwołania tej sesji. Zebrała. Taka Szwecja na przykład mając do wyboru Francję lub Tunezję poparła stanowisko Tunezji. Opowiedziała się za zwołaniem Sesji ONZ, którą Francja zbojkotowała.

Stanowisko krajów neutralnych, Azji i Afryki jest w tej chwili ważniejsze od stanowiska Francji.

I to jest znak czasu nr 3. Bizerta jest epizodem, ale epizod ten charakteryzuje procesy zachodzące dzisiaj w świecie.

JACEK LEBEN

Z łódzką MELPOMENĄ
FLIRT i KŁÓTNIA

Dalszy ciąg ze str. 2

skiego, czyli, żeby odbierać teatr poprzez treści artystyczne, intelektualne. Na ogół kontakt widza ze sceną jest bardziej bezpośredni: sztuka mówi o sprawach współczesnych, pasjonujących, często irytujących. Powodzenie „Kuglarzy" jest tego dowodem. Przecież komedia tu odnosi sukces nie tylko dlatego, że jest śmieszna, ale przede wszystkim dlatego, że obnaża zakłamanie społeczne. Ludzie spotykają się z tym na codzień i zapewne są wdzięczni autorom, że podjęli dokuczającą im sprawę.

Ale ile jest takich sztuk, bezpośrednio angażujących widza?

Łódzkie teatry nieśmiało grają łódzkich autorów. A przecież to rzecz kapitalnej wagi, mieć własne środowisko autorskie i o takowe się oprzeć. Da to możliwości poruszania spraw rodzinnego środowiska, więc miejscowego uaktualnienia repertuaru. Jestem jak najbardziej za tym, żeby grać łódzkich autorów, a jest ich spora gromadka: Czarny, Piechal, Obidniak, Rymkiewicz, Szczepańska, Nienacki, Orłowski... Trzeba ich grać. Dramatopisarz musi zobaczyć swój twór w blasku reflektorów podkreślającym siłę talentu i oświetlającym słabości. Bez tego nie ma rozwoju sztuki. W szufladach nic się nie dzieje, tylko właśnie na scenie.

Z kolei przejdźmy do drugiej walnej sprawy. Twierdzę, że nieprzygotowanie szerokich mas do rozumienia i odczuwania współczesnego teatru jest po prostu zastraszające. Widać to na niektórych sztukach: ludzie śmieją się w miejscach najmniej odpowiednich. Nie rozumieją treści przedstawianej, nie chwytają aluzji, podtekstów albo nie umieją się wzruszyć.

Współczesny dramat bardzo odbiegł od naiwnej „śpiewogry". Stanowi rodzaj moralitetu o głębokim podtekście psychologicznym, operuje skrótem, nieraz wyzbywa się dekoracji i rekwizytów, albo posługuje się aluzją scenograficzną. Ustawi scenograf na scenie kawał blachy i każe widzom wierzyć, że to krzak róży. Byłem kiedyś na sztuce Krapiwy w wykonaniu kijowskiego teatru. Bohater właśnie przyjechał łódką. Wyszedł z wiosłem na scenę. Z wiosła kapała woda. Widownia była zachwycona: to ci dopiero teatr, jak w życiu! Naszej widowni właściwe jest bardzo realistyczne widzenie. Jak nauczyć rozumienia współczesnych form dramaturgii?

Trzeba zbliżyć teatr do mas. Wbrew poglądom dyr. Postołowa nie sądzę, żeby droga wiodła poprzez rozrywki masowe w Hali Sportowej. To inny gatunek przeżyć. Również gapienie się w telewizor nie przysparza kultury duchowej. Można kupić telewizor, lodówkę i motor a mimo to pozostać człowiekiem niekulturalnym.

Z teatrem trzeba iść do mas tak jak to zrobili z książką pisarze. Red. M. Jagoszewski powiada: nie chce przyjść góra do Mahometa musi Mahomet pofatygować się do góry. I myśli o występach aktorów na peryferiach. Złożyłbym śmielszą propozycję.

Istotnie „góra nie chce przyjść do Mahometa". Podobnie robotnicy nie chodzą do księgarni, do Filharmonii, na wystawy plastyków. Linia latarń gazowych stanowi granicę nie tylko optyczną.

Myślę, że propozycja red. Jagoszewskiego nie wytrzyma próby życia. Owszem, z wizytą poszczególni aktorzy na pewno do dzielnic odległych chętnie pójdą. Ale nie można przecież feerycznej magii całego spektaklu przenieść do ubogiej świetlicy. Należałoby dokonać czegoś innego. Rzut oka na mapę teatralną Łodzi orientuje, że wszystkie teatry umieściły się w śródmieściu. Tu też powstaje centralny teatr o widowni, mogącej pomieścić 3.000 widzów. A gdyby tak teatry rozrzucić? Ulokować niektóre w robotniczych dzielnicach?

Przypomnę, że przed wojną mieliśmy Teatr Popularny przy ul. Ogrodowej, prowadzony 6 lat przez Józefa Pilarskiego. Drugi teatr robotniczy znajdował się na Górniaku w fabryce Geyera. Tu oglądałem „Balladynę" z K. Lubieńską, pamiętam wzruszenie widowni.

Oczywiście, teatry takie powinny przygotować widzów do zrozumienia trudniejszych sztuk, nie mogą być strawą dla ubogich duchem.

I tu dotknęliśmy zadania kapitalnego. Trzeba wychowywać widzów. Źle, że zarzucone zostały dyskusje z widzami, odczyty o granych sztukach, organizowane swego czasu przez Wydział Kultury, częste kontakty, nawet protektoraty nad świetlicami.

Należałoby przy zakładach pracy organizować Koła Miłośników Teatru, budzić zamiłowania, jednym słowem pójść ze sztuką w teren.

Na pewno więcej można zrobić w zakresie propagandy teatru: w prasie, w radio w telewizji.

Trzeba wychowywać młodzież. Początek już zrobiono. Abonamenty szkolne czynią wiele dobrego. Ale słyszy się narzekania: teatry nie dotrzymują niekiedy zobowiązań. Ja, gdy byłem sztubakiem chodziłem na poranki niedzielne (w okresie dyrektorstwa Barwińskiego). Ale wiedziałem, że zagrają „Makbeta" a nie dajmy na to „Ósmą żonę Sinobrodego".

Długofalowa, przemyślana polityka teatralna — oto nasze zadanie.

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

3 WYWIADY NA JEDEN TEMAT

O LOCIE MAJORA TITOWA POWIEDZIELI NAM:

Hanna Szabłowska — studentka:

Doceniam w pełni znaczenie pierwszych lotów kosmicznych. Wydaje mi się, że można je porównać do pierwszych odkrywczych w dziejach ludzkości rejsów morskich — tak jak na przykład ewentualne opanowanie Ameryki. Z tymi porównaniami wiąże się uwaga, że czas najwyższy rozstrzygnąć konflikty polityczne i ekonomiczne na Ziemi.

Zofia Adamska — urzędniczka:

Nie można chyba uniknąć porównania lotów Gagarina i Titowa. Mnie osobiście wydaje się, że większe znaczenie ma lot majora Titowa — trwał przecież znacznie dłużej, dowiódł, że człowiek dobrze znosi długi okres nieważkości i że potrafi ręcznie kierować statkiem kosmicznym.

Hanna D. — ekspedientka.

Mam wrażenie, że to już było łatwiejsze w porównaniu z lotem Gagarina. Pierwszy krok w nieznane jest zawsze najtrudniejszy. Titow miał chyba więcej pewności, że wróci na Ziemię cały i zdrowy. Dla mnie zawsze bohaterem pozostanie major Gagarin.

Rozmawiał — de Jot.

informacje i zaczepki

Łódzkie środowisko plastyczne reprezentuje na wystawie plakatu w warszawskiej „Zachęcie" Włodzimierz Dobroniak bardzo zdolny grafik, którego plakat filmu „Szerszeń" zdobył wśród zwiedzających wiele uznania. ■ Alina Grabowska z „Głosu Robotniczego" ubolewa, że w lokalu SPATIF nie prenumeruje się gazet i tygodników kulturalnych — nie prenumeruje się istotnie, ale jest to wynikiem prawidłowego rozumowania kierownictwa — do SPATIF bowiem nikt nie przychodzi na lekturę „Przeglądu Kulturalnego" a po prostu na wódkę. ■ Nareszcie zorganizowano w Łodzi dwuletnie studium kulturalno-oświatowe, którego powstanie postulowała od dość dawna łódzka prasa; organizatorem jest Zarząd Wojewódzki Towarzystwa Wiedzy Powszechnej. ■ Woj. łódzkie znajduje się aż na dwunastym miejscu pod względem czytelnictwa prasy — na sto osób przypada przeciętnie 30 gazet. ■ Sympatyczny skądinąd publicysta „Dziennika Łódzkiego" orzekł ostatnio, że młodzi poeci nie znają zasad „wersyfikacji, stylistyki, gramatyki, interpunkcji, no i ortografii", wszystko to wymyślił zbyt długo czekając w restauracji na obiad — no cóż mówią, że Polak jak głodny to zły. ■ W Łodzi na 100 mieszkańców przypadają cztery aparaty telefoniczne, a w Urzędzie Telefonów Miejscowych czeka na załatwienie około 6.000 podań, które jak twierdzą sceptycy nawet do roku 1964 załatwione nie będą. ■ Po dwuletnich „korodowodach" MPK otrzymało z Walbrzycha herby Łodzi — po mieście kursują już tramwaje z gustowną łódką na czerwonym tle.

WIL.

Otym nie wiecie

Ciekawostki o kucharzach

Jeden z największych smakoszów starożytnego Rzymu, M. Cavius Apicius (80 r. przed naszą erą i 40 r. naszej ery) wymyślał sobie rozmaite potrawy, jak na przykład gotowanego dzika, mlekiem karmione ślimaki albo morskie raki z tulipanami. Napisał sławną książkę kucharską, która zawierała sto przepisów różnych smakoszowskich potraw i przypraw.

* * *

Chińczycy mają dwadzieścia sposobów gotowania swoich potraw. Jest to „gotowanie do czerwoności", „przypiekanie", „sparzanie", „skwarzenie", „dokładne przypiekanie", „duszenie", „zatapianie", „gwałtowne gotowanie" itd. Peiping jest sławną „mieszaniną", którą się robi wprost na stole. Przed gościem stawia się małe ognisko z drzewnym węglem i rozmaite sosy, z których może sobie sporządzić sos według swojego gustu.

* * *

Słynnemu kucharzowi Joubertowi musiał książę Esterhazy płacić 2.000 liber pensji w złocie i dać służbowe mieszkanie, składające się z 10 pokojów, utrzymywać dla niego 18 służących, między nimi nawet kamerdynera, zarządcę, dwóch lokajów, furmana, trzy służące i kucharza oraz powóz i parę koni.

* * *

Napoleon codziennie na śniadanie jadł kurczę. Gorące i chrupkowate musiało się zjawić na stole natychmiast, gdy tylko cesarz usiadł. Ponieważ czas jego śniadania wahał się między trzecią, a dziesiątą godziną przed południem, zapytał pewnego razu Napoleon, jak to robią, że mają zawsze odpowiednio przygotowane kurczę.

— Sir — odpowiedział kuchmistrz — od godziny drugiej rano każę piec co piętnaście minut jedno kurczę.

* * *

Beethoven miał ze swoimi kucharzami zawsze nieprzyjemności. Żaden kucharz długo u niego nie zagrzewał, ponieważ mistrz był przekonany, że go okradają. Wszystko zamykał na klucz. Każdego rana wyliczał kucharzowi 45 ziarnek kawy.

* * *

Pewien bogaty smakosz trzymał 11 kucharzy. Niemca od zup, Anglika od pieczeni, Holendra od ryb, Węgra od duszonego mięsa, Francuza od legumin, Austriaka od puddingów, neapolitańczyka od lodów, rzymianina od pieczywa, Hiszpana od sałatek, Polaka od sosów, a Rosjanina od przekąsek.

(t. — j. b.)

Redaguje Zespół ◇ Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" ◇ Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 99, Tel. 244 79 ◇ Warunki prenumeraty miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— ◇ Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca ◇ Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUP i K „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17 ◇ Zam. 2304.VIII. L-12

Wystawa fotografiki prasowej E. KUDAJA

Oto po długich przygotowaniach wystawiono w młodzieżowej kawiarni „Staromiejska" ponad 30 prac znanego łódzkiego fotoreportera Eugeniusza Kudaja. Co prawda w żaden sposób nie potrafimy zrozumieć czemu ekspozycja jest tak skromna zarówno ilościowo jak i od strony oprawy plastycznej. Kudaj, jak wiemy, ma dużo więcej bardziej interesujących prac (choćby cykl „Łódź nocą") no i w końcu nie najkrótsze przygotowania zobowiązują chyba organizatorów do nie co staranniejszej oprawy wystawianych fotogramów.

Ale stało się. A stało się o tyle dobrze, że fotoreporter „Expressu" E. Kudaj jest jednym z nielicznych kronikarzy łódzkiej ulicy, fabryki, parku... Mamy co prawda w naszym mieście wielu fotografików nieraz z dumnymi tytułami, ale wolą oni uwieczniać na kliszy gdańskie latarnie czy krakowskie zaułki. Kudaj fotografuje Łódź. Wynika to z jednej strony ze szczerego sentymentu do miasta, z drugiej zaś z dziennikarskiej konieczności. Tak więc owe trzydzieści fotogramów eksponowane w środkowej sali kawiarni „Staromiejska" to naprawdę spory kawałek naszego miasta. To wycinek naszego życia złapanego na gorącym uczynku. Dynamika fotogramu sprawia, iż czasem ma się wrażenie, że to kadr filmowy, który za moment rozpocznie swoje pełne rytmu życie. Dlatego miłośnikom pięknej sztuki „malowania słońcem" wystawę Eugeniusza Kudaja gorąco polecamy.

J. W.

W oczekiwaniu na... kapustę

RYSZARD DOROBA

WZORY

Trzeba korzystać z najlepszych wzorów — pokona opór, kto nie ma oporów.

BA gatelki

Kalam własne gniazdo

Nawet nie ma do kogo listu otwartego napisać, wszyscy wyjechali na urlopy. Zresztą ma to swoje dobre strony. Korzystając bowiem z okazji, że większość szefów na urlopach przebywa i organu swojego nie czyta, można odważnie i swobodnie pokalać własne gniazdo. Trzeba od razu wyraźnie powiedzieć: nie dzieje się najlepiej. A to z najróżniejszych względów.

Dyskusja o teatrze umarła śmiercią gwałtowną i bezapelacyjną. Może też dlatego, że dyrektorzy wyjechali na urlopy, w Łodzi zaś z ludzi teatru zostali tylko Danuta Mniewska i Mieczysław Voit, a i oni marzą o słonecznych plażach, ostatkiem sił grając w „Dwojgu na huśtawce".

Śmiercią naturalną umarły także (lub może tylko zapadły w letarg) „Odgłosy tygodnia". Nie burzą sumień, nie piętnują, nie wypalają i nie smagają, ponieważ ich nie ma.

Redakcyjni poeci tłumaczą z angielskiego co gorsze nowele kryminalne.

Reportaże z konkursu „Opisanie Łodzi" coraz wyraźniej kończą się tak pod względem ilości jak i jakości.

Mieszanka filmowa starannie unika oczekiwanych przez Czytelnika problemów zastępując je fotosami niezbyt obficie ubranych gwiazd i gwiazdek.

Jedynie tylko kolumna rozmaitości, na której zamieszczane są niniejsze felietony utrzymuje się na normalnym wysokim poziomie.

O czymże więc ma pisać felietonista w małej rubryczce „Bagatelki", skoro całe wielkie „Odgłosy" nie dają mu skrawka problemu. Może tylko kalać. Choć też niedługo, bo zdarzy się, że uwierzy w to co pisze, przestraszy się i będzie miał zepsuty urlop. Dla pewności najlepiej więc skończyć. Co czyni nie bez pewnej ulgi

MAW

NASZA KRZYŻÓWKA

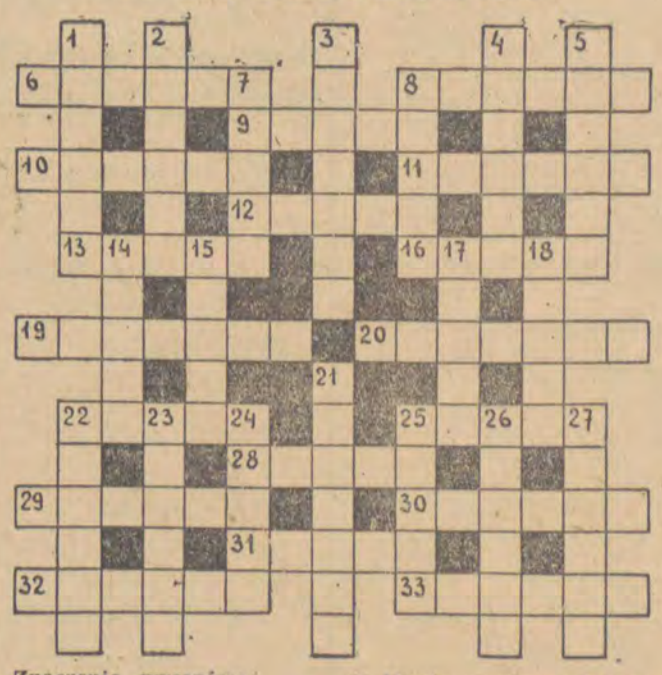

Znaczenie wyrazów:

Poziomo — 6) Taniec, 8) Owoc południowy, 9) Śmiałość, 10) Taniec, 11) Tablica, układ rubryk, 12) Część ust, 13) Roślina o skórzastych lub mięsistych liściach, 16) Roślina z rodziny motylkowatych, 19) Drobne ukłucie, złośliwa uwaga, 20) Sztuczna szczęka lub kończyna, 22) Metal alkaliczny, 25) Owoc południowy, 28) Muza komedii i pieśni pasterskiej, 29) Styl w sztukach plastycznych, 30) Wykończenie, poprawka naniesiona na gotowy rysunek, 31) Część spotkania bokserskiego, 32) Gryzipiórek, 33) Konferencja.

Pionowo — 1) Część drużyny piłkarskiej, 2) Siła, moc, 3) Utwór muzyczny lub wykwintne ciasto, 4) Olbrzymie drzewo podzwrotnikowe, 5) Port nad Zatoką Fińską, 7) Zwierzę domowe, 8) Beczułka, 14) Jezioro historyczne w Polsce, 15) Ptak, 17) Zgoda, kompromis, 18) Imię żeńskie, 21) Taniec, 22) Ryba, 23) Materiał wybuchowy używany przez górników, 24) Zasłona, roleta, 25) Zwierzę domowe; jedna z dwunastu konstelacji zodiaku, 26) Przyroda, 27) Oprawa; to, na czym się coś opiera.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru 23

Poziomo — ekonomika, partenokarpia, Rubikon, parkan, alegat, szafa, pszenica, siano kos, tornado, bufonada, bezlotek, zapas, strawa, Litwos, podarki, transatlantyk, antyklina.

Pionowo — ekstern, połowica, okaryna, rapakiwi, kierezja, magnetometria, makrokosmos, koszula, zagroda, firanka, proteza, katar, osoba, armatura, zastrzyk, praktyka, Apeniny, lignina.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

1. Zenon Gaworski, Łódź ul. Urzędnicza 8 m. 10

2. Zygmunt Żabicki, Łódź, ul. Kilińskiego 84 m. 96.

Bez podpisu

REPREZENTACJA na FESTIWAL

Okazuje się, że ma być jeszcze inaczej. Otóż na Festiwalu Piosenki w Sopocie Polska wystąpi w składzie: dziesięciu wykonawców i dwadzieścia piosenek z pięciu stolecia, przy czym trzy spośród piosenek to będą właśni zwycięskie piosenki plebiscytowe.

W Sopocie w dniach 25, 26 i 27 sierpnia br. wystąpią tedy: **Regina Bielska, Wiesława Drojecka, Ludmiła Jakubczak, Sława Przybylska, Hanna Rek, Rena Rolska, Irena Santor, Violetta Villas, Jerzy Połomski** i jedyny łodzianin w tym całym barszczu — **Tadeusz Woźniakowski.**

Wiesława Drojecka jedzie na Festiwal z piosenkami „Nad brzegiem morza" (muz. Preisner, słowa Miller) i „Maleńki znak" (muz. Wiehler, słowa Wolińska).

Wątpliwości i znaki zapytania

TAŚMA

Przed tygodniem, zupełnie szczerze zresztą, pochwaliłem koncert rozrywkowy nadany z łódzkiego studia. Potem przyszły refleksje, choć może nie ściśle artystycznej natury. Otóż myślałem tak:

W koncercie, obok orkiestry i prowadzącego imprezę LUCJANA KYDRYŃSKIEGO, wzięły udział trzy piosenkarki: WIESŁAWA DROJECKA, REGINA BIELSKA i LUMIŁA JAKUBCZAK. Pierwsza wykonała dwa utwory, dwie pozostałe zaledwie po jednym.

Gdybyż to — wykonały! Utwory dano z taśmy, zastosowano play-back, a praca realizatorów poszła właściwie li tylko w kierunku dobrania gestu do nagrania. I znów — czy nowego nagrania? Bo coś mi się wydaje, że coraz częściej wykonawca przywozi swój utwór „w tabletce", już nagrany na taśmie z akompaniamentem muzycznym, już gotowy, a jego udział w koncercie polega na „doklejeniu" własnej twarzy, na pochodzeniu sobie tam i z powrotem przed kamerą, zamarkowaniu — zresztą rzadko kiedy precyzyjnym — śpiewu.

Trudno wątpić, że utwór pracowicie nagrany w idealnych warunkach studyjnych, będzie się od strony muzycznej prezentował lepiej niż utwór wykonany „na żywo". Ale, podobnie, jeżeli z piosenkarką zrealizuje się krótki film, to — przy możliwości klejenia ujęć — ostateczny efekt również będzie korzystniejszy niż przy zdaniu się na kilka zaledwie prób i na prowadzenie wykonawczyni na planie. W perspektywie poczynają tedy widnieć „koncerty z nożyczkami" — wycinamy fragmenty tych, czy innych nagrań, montujemy, podkładamy obraz z taśmy filmowej i mamy — wydaje się — frapujący program.

A jednak to nie było ciekawe — rzecz jasna, chodzi o telewizyjny autentyzm, o unaocznienie widzowi aktorskiego wysiłku i tak dalej, i tak dalej, wiemy to wszystko doskonale. Stąd jednak przesadnym wydaje się rygorystyczne niemal stosowanie magnetofonu. Czy doprawdy jest on konieczny zawsze i przy każdej okazji? Czy nie można zaryzykować bezpośrednią transmisję ze studia, nawet licząc się z tym, że wykonawczyni się zdetonuje, że nie wyjdzie jej coś, podobnie przecież jak może nie wyjść na publicznym koncercie.

Przy takich założeniach w trakcie koncertu zaczęłoby się coś więcej dziać, rzadko bowiem wszystkie wykonania jednej piosenki — szczególnie świeżo wprowadzonej do repertuaru — są bliźniaczo podobne, a to również na swój sposób interesuje.

Bo — już zupełnie od innej strony patrząc — wydaje się lekką niedorzecznością sprowadzać jednego, czy drugiego wykonawcę z końca Polski, po to tylko, aby po kilku próbach poruszał niemo ustami przed kamerą.

J. PANASEWICZ

Podzwonne *dla* „Wszystkich dni tygodnia"

Obyło się bez surm bojowych i szumnych zapowiedzi. — Skoro lokalny magazyn publicystyczno — informacyjny „Wszystkie dni tygodnia" nie budzi w telewidzach i sprawozdawcach zbytniego zachwytu, skoro bywa przegadany i nudnawy — pomyślało sobie kierownictwo ŁOT — cóż rozsądniejszego jak powołać pospolite ruszenie projektodawców, ogłosić konkurs z atrakcyjnymi nagrodami (było nie było 2000, 1500 i 1000 zł.) na t. zw. „ramówkę", plan ramowy takiego magazynu.

I rzeczywiście — konkurs został rozpisany, został też ostatnio rozstrzygnięty. Rozgrywał się co prawda w zamkniętym kręgu dziennikarskim, ale to chyba nic dziwnego, ponieważ chodziło o projekty rzeczowe, realistyczne, z grubsza skalkulowane finansowo, zaplanowane w minutażu, jakoś rozwiązane redakcyjnie — trudno przypuścić aby ludzie spoza dziennikarskiej branży mogli spełnić te wszystkie warunki.

Smutna jednak rzecz — jako członek jury z całym przekonaniem podpisałem się pod podobnym sformułowaniem końcowego werdyktu — okazało się, że dużo u nas łatwiej o najgwałtowniejszą bodaj krytykę, niż o jakiś program pozytywny; na konkurs nadesłano żenująco niewiele odpowiedzi, chociaż — inna to już sprawa — te które nadeszły, zawarły niewątpliwie szereg interesujących propozycji. Patrząc tedy od strony telewidza możemy być raczej dobrej myśli — zanosi się na to, że nowy magazyn lokalny (nie wejdzie on jednak do programu wcześniej niż we wrześniu — październiku) będzie o wiele bardziej atrakcyjny niż dotychczasowy, bardziej dynamiczny i bogaty.

Weźmy chociażby tak drobną pozornie rzecz, jak czołówka — zgodzimy się chyba, że czołówka „Dziennika" zachęca do oglądania, jest jakaś agresywna, narzucająca się zarówno wizyjnie (kręgi wybiegające z anteny), jak muzycznie — przyciąga naszą uwagę, a nawet może zwabić nas z sąsiedniego pokoju. Podobnie radiowa zapowiedź wiadomości sportowych z rykiem tłumu, i tak dalej, i tak dalej.

Nowa wersja magazynu również, jak się wydaje, będzie miała czołówkę tego typu, ale... tak — zostawmy raczej szczegółowe uwagi do chwili obejrzenia pierwszego programu.

J.P.

Kwitujemy odbiór

SOBOWTÓRY

W ubiegłym tygodniu Tele-Echo przygotowało audycję raczej nietypową — w wyniku całego szeregu apeli zgromadziła się w studio grupka osób w mniejszym lub większym stopniu podobnych do sławnych ludzi, w tym wypadku zresztą wyłącznie do sławnych aktorów. Oglądaliśmy więc drugą Ćwiklińską, drugą Zofię Loren, drugiego Fernandela, Cybulskiego i tak dalej; rzeczywiście podobieństwa — szczególnie w wypadku Ćwiklińskiej i Zofii Loren — były uderzające, choć niewątpliwie rzecz podlegała niejakim rzutuszom.

Oczywiście trudno od zabawy — boć zabawa to była tylko — wymagać jakiegoś głębszego sensu, drażnić przecież może fakt niedociągnięcia audycji: jeżeli mamy już bowiem „drugiego Cybulskiego", to sprowadźmy i pierwszego, z drugiej zaś strony jeżeli mamy kogoś nie za bardzo podobnego do Gary Coopera, to nie ratujmy się przebieraniem Bogu ducha winnego faceta w kowbojskie łaszki, bo to wygląda nieco żenująco. To są powiedzmy, drobiazgi, ale niestety drobiazgi dość istotne i ważące w rezultacie na całości.

„KRACH"

Łódź pokazała nam „Krach" według Jacka Londona. Jest do dyskusji czy i w jakim stopniu rzecz nadawała się do adaptacji — ta opowieść o handlowych podchodach poszukiwaczy złota z dalekiej północy uderza wprawdzie wartką akcją, bystrą charakteryzacją typów ludzkich, swoistym humorem i niepowtarzalnym kolorytem, słowem wszystkimi mocnymi cechami pisarstwa Londona, z drugiej strony jednak cała opowieść biegnie nieubłaganie ku mizernemu dramaturgicznie zakończeniu, bliższemu rodzajowo tradycyjnym wyjaśnieniom detektywa z „Kobry", aniżeli istotnemu rozwiązaniu konfliktu.

Ani adaptator, ani w rezultacie reżyser nie mogli się zdecydować, jak rzecz rozegrać i zakończyć — luźna odzywka w tekście wskazywałaby wprawdzie, że intryga uknuta przez Dziką Wodę jest li tylko kawałem, ale wówczas rzecz należałoby poprowadzić bardziej jeszcze z przymrużeniem oka, bardziej komediowo i kpiąco. To *Antczakowi* wyraźnie nie odpowiadało, wolał dać sensacyjne widowisko serio zaś wyjaśniające zakończenie po prostu doczepić ku satysfakcji widza, któremu mogło być trochę żal sympatycznej pary cwaniaków. W rezultacie temperatura gwałtownie opadła, a kilka ostatnich minut było zwyczajnie nudnych i jałowych — szkoda bo starannie poprowadzone widowisko straciło przez to w ogólnym rachunku.

Za co natomiast można szczerze chwalić reżysera, to za ostre dynamiczne tempo w jakim poprowadził opowieść — nie nadużywał dużych planów i „scen rodzajowych", nie ględził, nie rozkoszował się szczegółikami, a poddawszy wstępnie ton, bardzo energicznie uruchomił maszynę akcji i krótkimi cięciami biegł ku rozwiązaniu. Szczególnie zwięzłe scenki rozgrywane przeciwko *Leonardowi Andrzejewskiemu*, z tym jego apatycznym „ja poczekam" i obojętnym gestem krajania chleba były najwyższej marki — tych kilka mignięć oddało cały klimat „jajczarskiego interesu", hazardowej i zuchwałej rozgrywki.

Obok epizodu Andrzejewskiego wart zapamiętania był również maleńki epizod *Mieczysława Voita*, a przede wszystkim role *Wiesławy Mazurkiewicz, Janusza Kłosińskiego, Bogusława Sochnackiego* i *Wojciecha Pilarskiego*. Chociaż o ile pierwsza para znakomicie orientowała się w podszewce machinacji, o tyle — w myśl scenariusza — i Sochnacki i Pilarski grali poniekąd w „jajczarskiego pokera", stąd wolałbym więcej wewnętrznego skupienia czy przede wszystkim więcej drapieżności, jeżeli już widz do końca ma się nie orientować w kierunku całej rozgrywki.

Z tymi zastrzeżeniami „Krach" — jako lekkie widowisko na kończącą się kanikułę — można chyba ocenić wcale pozytywnie.

CZ

ŁOT — poniedziałek 14 sierpnia — „Krach" wg JACKA LONDONA — adaptacja: H. OKRASKOWA — reżyseria: J. ANTCZAK — scenografia: J. MASŁOWSKI — piosenkę skomponował: C. MANIEWSKI.

PROGRAM *na najbliższe dni*

CZWARTEK, 17. VIII. 61.

18.30 Program dnia (L. lok.). 18.35 Program publicystyczny (L. lok.). 18.50 „Śpiew na szczycie gór" — film krótkometrażowy prod. wietnam. (W). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.00 „Nie tylko dla pań" — magazyn (W). 20.30 PKF (W). 20.40 „Punkt do punkcie" film krótkom. prod. NRF (W). 20.55 Teatr „Kobra". „Ten, który przyjdzie" — widowisko sensacyjne Bohdana Jastrzębskiego i Lecha Pijanowskiego. Reżyseria Michała Bogusławskiego (W). 21.55 Ostatnie wiadomości (W).

PIĄTEK, 18. VIII. 61.

18.05 Program dnia (L. lok.). 18.10 „Wszystkie dni tygodnia" (L. lok.). 18.40 „Parada zwierząt" — film krótkom. dla dzieci prod. franc. (W). 19.00 Dziennik telewizyjny (W). 19.30 „W słońcu" — sztuka w 3 aktach Ludwika Hieronima Morstina. Reżyseria Józef Gruda. Transm. z Teatru Ludowego (W). 22.00 Program pt. „Tadeusz Breza — opowieść o „Kubie" cz. II (W). 22.30 Ostatnie wiadomości (W).

SOBOTA, 19. VIII. 61.

10.55 Program dnia (L. lok.). 11.00 Transmisja z zakończenia obozu pionierskiego w Erfurcie (NRD). 12.30 Przerwa. 17.45 Program dnia (L. lok.). 17.50 Sprawozdanie z meczu piłkarskiego Polska — CSRS. Transmisja z Krakowa (Kr.) 18.15 „Statek z dynamitem" — film fab. prod. rumuńskiej dozw. od lat 16 (czytany) (W). 20.00 Dziennik telewizyjny (W). 20.30 „Rozmowa o programie" (L. lok.). 21.00 Program rozrywkowy z parku Fucika w Pradze (Praga przez Katowice). 22.00 Ostatnie wiadomości (W).

NIEDZIELA, 20. VIII. 61.

14.55 Program dnia (L. lok.). 15.00 Niedzielna biesiada (W). 16.10 „Opowieść o psach" — film z serii „Disneyland" (W). 17.00 Sprawozdanie z meczu piłkarskiego. Polska — CSRS (Kraków). 18.15 „Cyrano de Bergerac" — film fab. prod. USA dozw. dla młodzieży (W). 20.10 Dziennik telewizyjny (W). 21.00 Muzyczny program rozrywkowy (Budapeszt przez Katowice). 21.50 PKF (W). 22.00 Niedziela sportowa (W).

W ramach baletowego „hobby" prezentujemy

Glorię Mestre — primabalerinę meksykańskiego Baletu Narodowego

Dalszy ciąg ze str. 12

niach urlopu Blauvelt powrócił do swych obowiązków, dowiedział się, że 9 dni temu zatrzymał się w hotelu niejaki Worth. Ten Worth przez 9 dni nie opuścił pokoju i nie widywał nikogo, poza pokojówką i służącymi, przynoszącymi mu posiłki. Drzwi pokoju, w którym mieszkał były nie tylko dzień i noc zamknięte na klucz. Zabezpieczał je również i łańcuch. Był to pokój 913. Worth, jak powiedział Blauveltowi urzędnik z recepcji hotelu, oświadczył, że pragnie się zatrzymać w tym i tylko w tym pokoju.

— Wróciłem do pracy dopiero dziś rano i nie miałem jeszcze okazji przyjrzeć mu się dokładnie — raportował Blauvelt przez telefon. — Ale z tego, co mówi służba, wygląda, że to on. Zmienił tylko kolor włosów. Inspektorze, jeśli to nie jest Philly Mullane, możecie mnie przenieść do zakładu oczyszczania miasta.

— Świetnie, Blauvelt. Zaraz tam będziemy — inspektor Queen odłożył słuchawkę. — Ten sam hotel, ten sam pokój... — przerwał i zamyślił się.

— Coś mi się tu nie podoba — powiedział Ellery, który przysłuchiwał się rozmowie ojca z Blauveltem. — Chyba, że właśnie w tym pokoju schował te pieniądze.

— To niemożliwe, Ellery! — wykrzyknął inspektor. — Kiedy schwytaliśmy go dziesięć lat temu, przeszukaliśmy cały pokój.

— Cóż z tego? — mruknął Ellery. — Mogliście coś przeoczyć. Pamiętasz, jak chytrze Philly wmówił w ciebie, że zakopał pieniądze podczas ucieczki? Przekopałeś wtedy chyba połowę Connecticut. Mówię ci, te pieniądze były przez cały czas w pokoju hotelowym.

Nie pozostało więc im nic innego do zrobienia, jak udać się do hotelu „Chancellor". Zjawili się tam wraz z sierżantem Velie i kilkoma policjantami. Blauvelt otworzył wytrychem drzwi do pokoju 913. Powód, dla którego drzwi nie były zamknięte na łańcuch, stał się jasny, gdy zobaczyli, że ten, które go szukali, nie żyje.

Mullane siedział skulony przy biurku z twarzą oparta o blat. Uderzono go w tył głowy czymś ciężkim, prawdopodobnie, jak można było wywnioskować z kształtu rany, młotkiem. Ellery zmarszczył brwi.

— Nie wygląda na to — powiedział, dotykając delikatnie głowy zmarłego — żeby ten cios mógł spowodować śmierć.

— Mullane — odrzekł inspektor Queen — miał chore serce. Przy takim sercu to uderzenie mogło go wykończyć.

Ellery rozejrzał się dokoła. Pokój nie był jeszcze tego dnia sprzątany. Mrucząc pod nosem, Ellery zaczął obmacywać ściany.

— Nie mógł ich schować gdzieś w biurku czy w szafie... W fotelu też nie... Wiedział, że meble mogą zostać wymienione... Nie, w ścianach też nie. Musiałby kruszyć tynk... Za duże ryzyko...

Kiedy Ellery na czworakach wędrował po pokoju, inspektor Queen podszedł do biurka.

— Blauvelt — zwrócił się do detektywa — niech mi pan pomoże go podnieść.

Ciało Mullane'a było jeszcze ciepłe. Kiedy zadano mu cios, pisał coś przy biurku, bo rękawy i kołnierz jego szlafroka poplamione były błękitnym atramentem, który nie zdążył jeszcze wyschnąć. Padając, Philly musiał przewrócić stojący na biurku kałamarz.

Inspektor zesztywniał i rozejrzał się po pokoju.

— Sierżancie — powiedział do Velie'ego — dajcie tu jakiś brudny ręcznik z łazienki. Może uda nam się osuszyć tę kartkę.

— Nie ma tu brudnych ręczników — odpowiedział z łazienki sierżant.

— To dajcie czysty.

Velie wyszedł z łazienki, niosąc nie używany ręcznik. Inspektor zabrał się do pracy. Po kilku minutach delikatnie podniósł osuszoną kartkę. Można było z niej odczytać tylko trzy słowa:

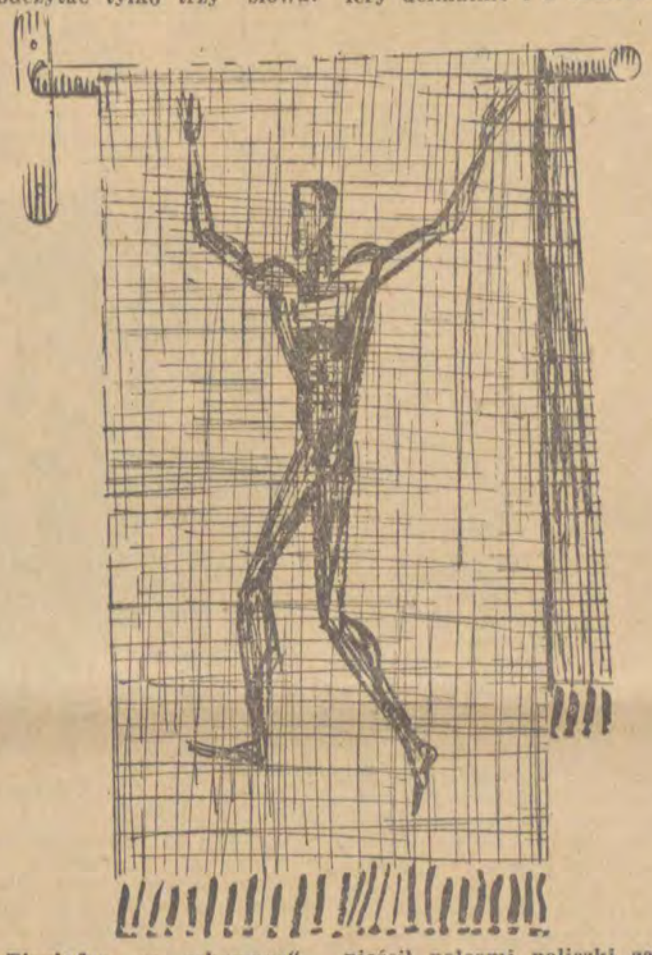

„Pieniądze są schowane"... Dalszy ciąg zdania zakrywały wielkie, błękitne kleksy.

— Nie rozumiem — zdziwił się Blauvelt, podtrzymujący ciało zabitego. — Dlaczego on to napisał?

— Myślę — powiedział inspektor — że kiedy wstał dziś rano, poczuł zbliżający się atak serca. Miał już taki atak w więzieniu i o mało nie wygadał wtedy wszystkiego. Tym razem musiał się na tyle przestraszyć, że usiadł i napisał, gdzie znajdują się pieniądze. A potem przyszedł atak i Mullane stracił przytomność. Kiedy morderca wszedł do pokoju, mógł pomyśleć, że Philly drzemie. Wykończył go i przeczytał kartkę, nim atrament jeszcze w nią nie wsiąknął.

— I znalazł forsę — dodał Ellery spod łóżka. — Bo tu jej nie ma.

Inspektor i Blauvelt natychmiast znaleźli się pod łóżkiem. Otwór, w którym przez dziesięć lat leżało 62 tysiące dolarów, wydrążony w podłodze i zakryty dywanem i ruchomą deską, był pusty.

Ellery podniósł się na nogi. Podszedł do biurka i pochylił się nad ciałem.

— Co robisz, Ellery! — wykrzyknął inspektor Queen.

Nawet sierżant Velie wyglądał na przerażonego. Ellery delikatnie i z czułością pieścił palcami policzki zamordowanego.

— Piękne — powiedział.

— Piękne! — wykrzyknął inspektor.

— Piękne ślady talku. Golił się dziś rano.

— Ucz się, Blauvelt — powiedział Vellie i szturchnął detektywa. — Golił się dziś rano. Teraz wiemy już wszystko.

— Oczywiście, uśmiechnął się Ellery. — Teraz już wiemy, kto go zamordował.

Sierżant otworzył usta, ale nie zdążył się odezwać.

— Zamknij się, Velie — powiedział inspektor Queen. — No?

— Mullane golił się dziś rano — powiedział Ellery. — Ale gdzie?

— Poddaję się — mruknął sierżant. — Gdzie?

— Jak to — gdzie? Tam, gdzie goli się każdy. W łazience. A czy golił się pan kiedyś, sierżancie, nie używając ręcznika?

— Myśli pan, że wycieram twarz słomianką?

— No tak, Ellery — wtrącił się niecierpliwie inspektor. — Mullane ogolił się i wytarł twarz ręcznikiem. Ale co z tego?

— A gdzie jest ten ręcznik? Kiedy poprosiłeś sierżanta, żeby przyniósł z łazienki ręcznik, powiedział, że nie ma tam używanych ręczników. A tu, w pokoju, nie ma ani jednego ręcznika. Co Velie przyniósł z łazienki? Czysty ręcznik. Mówiąc jaśniej, kiedy Mullane ogolił się dziś rano, ktoś zabrał z łazienki brudne ręczniki i zastąpił je czystymi. Jesteśmy w hotelu. Kogo Mullane, zamykający zawsze drzwi na łańcuch, musiał wpuścić do pokoju?

— Pokojówkę, tak?

— Tak. Wpuścił ją dziś rano. Zaczęła sprzątać w łazience. Ale, jak widzisz, nie sprzątnęła pokoju. Dlaczego? Sprawa jest jasna. Dlatego, że gdy robiła porządek w łazience, Mullane dostał ataku serca. To ta pokojówka zamordowała go. Czekała na tę okazję przez dziewięć dni. Tylko ona mogła przeczytać to, co Mullane napisał, siedząc przy biurku. I tylko ona mogła zabrać nie niądze z otworu pod łóżkiem.

— Ale ten młotek? — wykrzyknął inspektor. — Jeśli miała przy sobie młotek, to znaczy, że planowała to morderstwo. Musiała wiedzieć, kim on był!

— Oczywiście — odparł Ellery — że wiedziała. Myślę, że kiedy ją zobaczysz, okaże się, że masz do czynienia ze swoją starą znajomą, Patience Pittsburgh. Oczywiście musiała się zmienić przez te dziesięć lat. A i charakteryzacja też robi swoje. Patience domyślała się z pewnością, gdzie Mullane schował te 62 tysiące. Gdy trzy lata temu wyszła z więzienia, znalazła sobie pracę w tym hotelu. I czekała cierpliwie, aż zjawi się tu jej stary przyjaciel, Philly Mullane.

Trzy Belgrady w jednym

Dokończenie ze str. 7

śladów nie da się w ogóle usunąć, zważywszy, że czas niewoli jugosłowiańskiej (a właściwie serbskiej) stolicy trwał nieporównanie dłużej od naszej, mianowicie od r. 1389 do 1878, a więc prawie 500 lat. I to jakiej niewoli: tureckiej!

Rolę belgradzkiej cytadeli grał przez wieki najwyższy skalisty cypel u zbiegu dwóch szeroko rozlanych i bagnistych w tym miejscu rzek. Na nim zbudowali Turcy potężną twierdzę, która panowała nad całym miastem w dole. To dzisiejszy Kalemegdan, dzielnica-muzeum narodowej martyrologii z przepięknym parkiem naokoło, zamkniętym okrążającym go bulwarem o wymownej i wzruszającej nas, Polaków, nazwie: Tadeusza Kościuszki. Kiedy się ogląda biegnący tarasowato labirynt potężnych murów tej gigantycznej warowni, wpartej w lita skałę opadającą stromo z trzech stron w bagniste i szeroko rozlane wody Dunaju i Sawy, rozumie się całą rozpaczliwą beznadziejność oporu przeciwko tej pięciowiekowej tureckiej tyranii.

Dziś jest to najpopularniejsze miejsce spacerowe w Belgradzie. Stąd rozciągają się najrozleglejsze i najpiękniejsze widoki wzdłuż gładkiego lustra Dunaju na zachód, aż po mglisty horyzont z ujściem Sawy, tuż prawie pod stopami z wielką wyspą pośrodku tego ujścia. Dalej widać dymiące kominy przemysłowego przedmieścia Zemun, a po przeciwnej stronie Sawy wyrastające w ostatnich latach całe kompleksy wielopiętrowych bloków, olbrzymich wieżowców i reprezentacyjnych gmachów nowego miasta: właśnie Nowego Belgradu. Ta nowa część stanie się według planów urbanistycznych przyszłym śródmieściem stolicy państwa związkowego. Niedawne bagno, jakim była wielokilometrowa płaszczyzna między Sawą a Dunajem, od strony Zemunu, stanie się teraz najbardziej nowoczesną i reprezentacyjną częścią Belgradu.

Ale to nie znaczy, że stary Belgrad zejdzie na drugi plan. Wyjątkowego położenia, szczodrego daru samej natury i historycznej tradycji nikt mu nie odbierze. Wprawdzie znikają resztki meczetów z charakterystycznymi minaretami, ale akcent orientalny miasta — mimo ultranowoczesnych budowli i placów takich jak reprezentacyjny Marksa i Engelsa, albo takich magistrali jak ulica marszałka Tita — i tak pozostanie w niezliczonych obiektach starej architektury i nawet całych dzielnic, czego przykład nie ma równany w uroku z niczym Kalemegdan.

Na utwierdzenie ostatecznego zwycięstwa Słowian nad wrogą przemocą, stoi tam u wejścia do fortecy, olbrzymi pomnik-rzeźba I. Meštrovica, jednego z największych rzeźbiarzy naszego wieku, obok Rodina i Maillola, a chyba największego rzeźbiarza słowiańskiego obok naszego Dunikowskiego. Zresztą Jugosławia, a zwłaszcza Serbia, to kraj rzeźb, monumentów i pomników. Pod tym względem Belgrad kontrastuje jaskrawo na niekorzyść naszej Warszawy — jedynie z Paryżem chyba może iść w paragon.

Można się zakochać w pomnikach i dziełach sztuki plastycznej, dawnej i obecnej, stolicy Jugosławii, to prawda, ale chyba jeszcze bardziej można się zakochać w jej ludziach, tak podobnych z urody do pomników i równie jak pomniki mocnych i, rzekłbym, niewyczerpanych w przyjaźni i gościnności.

MARIAN PIECHAL

Korespondencja

T. ZW ISTOTA RZECZY

W związku z naszymi uwagami na temat wystawy fotografiki Andrzeja Kondratiuka otrzymaliśmy list od Centralnego Biura Wystaw Artystycznych, którego istotny i godny opublikowania fragment brzmi:

„Lokal wystawowy przy ul. Piotrkowskiej Nr 102 jest od 1953 roku w dyspozycji Centralnego Biura Wystaw Artystycznych i nigdy CPLiA nie prowadziła tutaj swego straganu z wyborami ludowymi ani pseudo-ludowymi".

OD REDAKCJI

Związek Polskich Artystów Plastyków i Centralne Biuro Wystaw Artystycznych wystosowały do Redakcji „Odgłosów" protestacyjne pismo w związku z notą zamieszczoną w 20 nrze naszego pisma. Równocześnie w liście wystosowanym do SDP wzywa się zarząd do piętnowania i wyciągnięcia „konsekwencji organizacyjnych" za niefrasobliwe i niezgodne z prawdą naświetlenie wystawy pokonkursowej „Łódź w malarstwie". List ten sugeruje również, że prasa łódzka wytworzyła „sytuację" dwuznaczności i nieprzychylności wokół Zarządu Okręgu Łódzkiego ZPAP.

Nie usiłując bronić całej prasy łódzkiej — nie jesteśmy do tego upoważnieni — wyrażamy przypuszczenie, że tę dziwną i nieprzychylną opinię o naszym stanowisku wytworzyły zapewne wzmianki (zawsze pozytywne) o każdej niemal wystawie plastycznej eksponowanej w Łodzi i bardzo często też — obszerne recenzje drukowane na łamach naszego tygodnika.

Dziękujemy za ocenę naszego zainteresowania plastyką i popularyzacji jej i wyjaśniamy:

1. Autor recenzji o wystawie A. Kondratiuka (29 nr „Odgłosów") istotnie nie miał racji pisząc o „pseudoludowych wyrobach" w lokalu wystawowym przy ul. Piotrkowskiej 102.

2. Autor żartobliwego felietonu z n-ru 20 „Odgłosów" merytorycznie nie miał racji pisząc o konkursie urządzonym przez ZO ŁRPAP. Żart jednak pozostanie żartem.

REDAKCJA

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

W artykule „Mówi Łódź" („Odgłosy" nr 28 z dnia 16 lipca 1961 r.) p. Krystyna Wojtasik, referując sprawę udziału Rozgłośni Łódzkiej (której, jak Panu zapewne wiadomo, jestem pracownikiem) w programie ogólnopolskim, pisze następująco: „Łódź podobno nie jest w najgorszej sytuacji. Znajduje się ona w programie ogólnopolskim na drugim (tak twierdzi dyr. Zygmund) lub trzecim (tak twierdzi T. Gicgier) miejscu po Warszawie.

Gwoli wrodzonemu przywiązaniu do prawdy, muszę wyjaśnić, że wyrażając taki pogląd w rozmowie z p. Wojtasik, mówiłem (o czym autorce artykułu wiadomo) o ilości łódzkich audycji POETYCKICH na fali ogólnopolskiej, nie zaś o WSZYSTKICH audycjach naszej Rozgłośni na tej chlubnej fali. Ostatnie podsumowania Rozgłośni Centralnej dowodzą, że Łódź znalazła się istotnie na drugim miejscu po Warszawie, za co otrzymała nawet specjalną premię. O ile mi wiadomo, sympatyczna skądinąd i — jak wynika z jej artykułu — przyjaźnie do Radia usposobiona p. Wojtasik, jest z wykształcenia humanistką, nie dziwię się więc, że takie „matematyczne pojęcia" jak podsumowanie, bądź drugie lub trzecie miejsce, cokolwiek jej się mylą.

Szanowny Panie Redaktorze! Pragnę Pana zapewnić, że chociaż piszę wiersze liryczne, nie jestem aż tak lekkomyślny, żeby zadzierać ze swoją Dyrekcją i wyrażać inne, niż ta Dyrekcja, poglądy.

Myślę, że ten argument przekona Pana ostatecznie, na którym miejscu znajduje się Łódź po Warszawie.

TADEUSZ GICGIER

REGULAMIN NA SZTUKĘ

Wydział Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi łącznie z Oddziałem Łódzkiem Związku Literatów Polskich ogłasza ogólnopolski konkurs dla dzieci o tematyce dowolnej.

1. **Na konkurs mogą być nadesłane tylko sztuki nowe, nigdzie dotąd nie składane, nie wystawiane i nie drukowane, orginalne lub przerobione z utworów niescenicznych (powieści bajek, baśni).**
2. **Winny to być sztuki pełno spektaklowe o objętości 35 -45 stron maszynopisu (czas trwania widowiska około 1½ godziny) dla wieku szkolnego; względnie krótsze dla dzieci młodszych (objętość mniej więcej 30 stron, czas trwania — 1 godzina.**
3. **Sztuki powinny posiadać specyficzne cechy lalkarskie, tzn nadawać się do wystawienia swoistymi środkami sceny lalkowej.**
4. **W zasadzie obsada sztuki nie powinna przekraczać ilości 10 aktorów.**
5. **Prace, opatrzone godłem, należy nadesłać w 3 egz. (maszynopis) na adres: Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej — Wydział Kultury w Łodzi ul. Ogrodowa 15.**
6. **Termin nadsyłania prac konkursowych upływa dnia 1 marca 1962 roku.**
7. **Za najlepsze utwory przyznane będą nagrody w wysokości:**
   I nagroda — 5.000. zł.
   II nagrody dwie — po 3.000. zł.
   III nagrody trzy — po 1.500. zł.
   Jury konkursu zastrzega sobie prawo innego podziału nagród.
8. **W skład jury wejdą przedstawiciele:**
   1. Prezydium Wojew. Rady Narodowej w Łodzi
   2. Komisji Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej
   3. Związku Literatów Polskich
   4. Związku Polskich Artystów Plastyków
   5. Państwowego Teatru Lalek „Pinokio"
   6. Sekcji Lalkarskiej SPATiF.

Dla zwykłego podniebienia smak zbrodni jest cokolwiek nieprzyjemny. Ale Ellery Queen był jeśli chodzi o te kwestie epikurejczykiem, a niektóre ze spraw, z którymi zdarzyło mu się zetknąć, posiadały, jak utrzymywał, zapaszek i smak, który przez długi czas pozostawał na języku. Do tych spraw wypadałoby zaliczyć także i słynną już historię trzech wdów.

Dwie z tych wdów, Penelopa i Lira, były siostrami. Obie zabiegały w równej mierze o pieniądze, ponieważ dla Penelopy były one wszystkim, a dla Liry niczym. Obie również pochowawszy swych młodych i rozrzutnych mężów, powróciły mniej więcej w tym samym czasie do domu swego ojca. Jak podejrzewano, powróciły z niejaką ulgą, ponieważ stary Teodor Hood był nie tylko pobłażliwym ojcem, ale również człowiekiem szczodrym i bogatym. Cóż z tego, kiedy tuż po powrocie córek Teodor Hood znalazł sobie nową żonę, kobietę obfitej tuszy i nieziemskiego charakteru.

Zaniepokojone siostry rozpoczęły działania wojenne. Macocha z ponurym uśmiechem podjęła wezwanie. Stary Teodor dostał się w krzyżowy ogień i tęsknił już tylko za chwilą spokoju. Wreszcie ów spokój został mu przyznany i w domu pozostały trzy wdowy.

Pewnego wieczoru, w kilka tygodni po śmierci ojca, pulchna Penelopa i chuda Lira poproszone zostały przez służącego do salonu. Czekał tam na nie prawnik rodziny, nazwiskiem Strake. Cokolwiek by ów pan Strake nie powiedział, miało to zawsze wagę wyroku, wygłoszonego ustami sędziego. Lecz tego wieczoru, kiedy poprosił siostry, aby zechciały zająć miejsca w fotelach, głos jego brzmiał wyjątkowo złowróżbnie. Przeczucie zbrodni wisiało w powietrzu. Penelopa i Lira usiadły, wymieniając znaczące spojrzenia. Po kilku minutach w drzwiach ukazała się Sara Hood, wsparta na ramieniu familijnego lekarza, doktora Benedykta.

Pani Hood obrzuciła swe pasierbice pogardliwym spojrzeniem.

— Pan doktor i pan Strake wypowiedzą się pierwsi — powiedziała. — Ja będę mówić po nich.

— W ubiegłym tygodniu — zaczął doktór — macocha pań zwróciła się do mnie, abym skontrolował stan jej zdrowia. Czynię to, jak panie widzą, regularnie co sześć miesięcy. Przeprowadziłem szczegółowe badania i z radością stwierdziłem, że pani Hood cieszy się świetnym zdrowiem. Biorąc pod uwagę jej wiek, wyniki badań były wysoce zadowalające. Ale już następnego dnia pani Hood pojawiła się u mnie. Czuła się chora, po raz pierwszy, o ile sobie dobrze przypominam, od ośmiu lat. Sądziłem, że bóle, na które się skarżyła, nie są groźne i że po prostu zjadła coś nieświeżego. Ale diagnoza pani Hood była nieco inna. Początkowo uważałem, że jej podejrzenia są bezpodstawne. Nalegała jednak, abym przeprowadził pewne badania. Okazało się, że miała rację — doktór zrobił znaczącą pauzę. — Pani Hood — powiedział po chwili — próbowano otruć.

Policzki chudej Liry pokryły się rumieńcem, a twarz pulchnej Penelopy wyraźnie zbladła.

— Proszę więc — ciągnął dalej doktór Benedykt — przyjąć do wiadomości następujące ostrzeżenie: od dnia dzisiejszego będę badał macochę pań każdego ranka, nie wyłączając niedziel.

— Pan Strake — powiedziała pani Hood, uśmiechając się nieznacznie.

— Zgodnie z wolą ojca — zaczął prawnik — każda z pań otrzymuje obecnie należny jej, niewielki procent z dochodu, który przynoszą nieruchomości. Prawie cały ten dochód trafia do rąk macochy pań. I będzie trafiał — także zgodnie z ostatnią wolą pana Hooda — tak długo, jak długo pani Hood będzie żyła. Lecz z chwilą jej śmierci kapitał wynoszący około dwóch milionów dolarów, przejdzie w ręce pań. Mówiąc jaśniej, panie są jedynymi osobami na świecie, którym śmierć pani Hood przyniesie korzyść. Po informowałem już macochę pań i pana doktora, że — jeśli panią Hood spotka coś złego — zrobię, co będzie w mojej mocy, aby zostały pa nie ukarane przykładnie i surowo. Na szczęście, oczywiście na szczęście dla pań, tym razem to ohydne usiłowanie morderstwa spełzło na niczym, mimo to — Strake zwrócił się do pani Hood — radziłbym wezwać policję. I to natychmiast.

— Natychmiast! — krzyknęła Penelopa. — Wezwijcie ich natychmiast.

Lira nie powiedziała tym razem nic.

— Mogłabym to zrobić, Penelopo — odezwała się pani Hood, uśmiechając się słabo. — Ale znam wasz spryt, i wiem, że w tej chwili nic by wam zapewne nie udowodniono. Najchętniej wyrzuciłabym was natychmiast z tego domu. Dopiero wtedy poczułabym się bezpieczna. Niestety, nie mogę tego zrobić. Postąpiłabym wbrew woli waszego ojca. Rozumiem — ciągnęła dalej — waszą niecierpliwość. Chcecie się mnie pozbyć, cóż w tym dziwnego. Tryb życia, na jaki jesteście skazane obecnie, nie odpowiada waszym ambicjom. Chciałybyście obie ponownie wyjść za mąż. A w waszym wieku — Sara Hood zachichotała cicho — nowych mężów kupuje się już za pieniądze. Ale muszę wam powiedzieć coś nieprzyjemnego. Moja matka umarła, mając dziewięćdziesiąt dziewięć lat, mój ojciec — mając sto trzy lata. Doktór powiedział mi przed chwilą, że mogę jeszcze żyć trzydzieści lat.

Pani Sara Hood podniosła się z fotela i ruszyła ku drzwiom. Na progu przystanęła i raz jeszcze obrzuciła spojrzeniem bladą Lirę i pulchną Penelopę.

— Zapewniam was — powiedziała z uśmiechem — że zrobię wszystko, aby przeżyć te trzydzieści lat.

To powiedziawszy, zniknęła za drzwiami.

Minął tydzień. Ellery Queen siedział przy wielkim, mahoniowym łożu, na którym leżała Sara Hood. Doktór Benedykt i pan Strake stali obok, wyraźnie zaniepokojeni.

Panią Hood znów próbowano otruć. Na szczęście, doktór Benedykt przybył w porę i wdowa została uratowana.

Ellery pochylił się nad leżącą. Twarz pani Hood miała kolor wapna.

— Te środki ostrożności... — zaczął.

— Nie wiem — przerwała mu pani Hood — jak to się mogło stać. To nieprawdopodobne.

A przecież — powiedział Ellery — to się stało. Spróbujmy rozważyć wszystkie możliwości. Okna pani sypialni są zakratowane, a drzwi zostały zaopatrzone w nowe zamki. Jedyny klucz ma pani zawsze przy sobie. Żywność kupuje pani sama i sama, w tym pokoju, przyrządza pani swoje posiłki. Jada pani również sama. Tak więc, nikt nie mógł dosypać czy dolać trucizny do żadnego z pani posiłków. Kupiła pani nowe naczynia, trzyma je pani tu, w tym pokoju. Sama pani je zmywa i wyciera. Truciciel nie miał więc dostępu do pani garnków, talerzy, szklanek, porcelany i sztućców. W jaki więc sposób podano pani tę truciznę?

— Otóż to! — wykrzyknął doktór Benedykt.

— Otóż to, panie Queen — mruknął pan Strake. — Dlatego właśnie postanowiliśmy — ja i doktór — nie zwracać się do policji. Ta cała sprawa, to coś dla pana, czyż nie tak?

— Pewnie — odpowiedział Ellery — to coś dla mnie. Czy pozwoli pan, doktorze, że zadam pani Hood jeszcze kilka pytań?

Doktor Benedykt zmierzył puls chorej i skinął głową. Ellery zaczął stawiać pytania. Pani Hood odpowiadała mu ledwo słyszalnym szeptem. Tak, kupiła nową szczotkę do zębów i nowe mydło. Zęby ma nadal zdrowe i nie sądzi, aby zechciała kiedykolwiek wymienić je na sztuczne. Nie zażywa żadnych leków, ani żadnych środków uspokajających. Pije tylko czystą wodę. Nie pali, nie jada słodyczy, nie żuje gumy, nie używa kosmetyków... Pytania następowały jedno po drugim. Wreszcie pomysłowość detektywa wyczerpała się. Zapadło milczenie. Przez chwilę Ellery zastanawiał się, czy nie przeoczył czegoś. Podziękował w końcu pani Hood i wyszedł z pokoju wraz z doktorem i panem Strake.

— I jaka jest pańska diagnoza? — spytał doktor.

— Pana werdykt — zażądał niecierpliwie Strake.

— Panowie — powiedział Ellery — kiedy, po zbadaniu kranów, rur wodociągowych, zlewu i umywalni, zdołałem stwierdzić, że woda, którą piła pani Hood, nie mogła zostać zatruta, uporałem się z ostatnią możliwością.

A jednak — mruknął doktor — trucizna dostała się do organizmu. Podano ją — jeśli wolno mi tak powiedzieć — doustnie. Stwierdziłem to ponad wszelką wątpliwość.

— Jeśli to, co pan mówi, doktorze — powiedział Ellery — jest zgodne z prawdą, pozostaje jeszcze tylko jedno jedyne wyjaśnienie.

— Jakie?

— Pani Hood truje się sama. Gdybym był na panów miejscu, zwróciłbym się do psychiatry. Do widzenia!

* * *

Po dziesięciu dniach Ellery znów znalazł się sypialni Sary Hood. Tym razem trucizna poskutkowała. Pani Hood rozstała się z życiem. Queen nie miał żadnych wątpliwości.

— Samobójstwo, tak? — spytał, stając w drzwiach do mu.

Ale tym razem omylił się. Sara Hood nie popełniła samobójstwa. Staranne dochodzenie przeprowadzone przez policję nie doprowadziło do wykrycia śladów trucizny czy jakiegokolwiek naczynia, na którym trucizna mogłaby się znajdować, ani w sypialni, ani w łazience pani Hood. Ellery, dowiedziawszy się o tym, uśmiechnął się szyderczo i sam zabrał się do poszukiwań. Ale szybko przestał się uśmiechać. Nie znalazł niczego, co byłoby niezgodne czy to z oświadczeniem ekspertów, czy to z tym, czego uprzednio dowiedział się od pani Hood. Przeprowadził więc rozmowę ze służbą. Dokładnie i bezlitośnie przesłuchał łkającą Penelopę i mruk liwą Lirę. W końcu opuścił dom wdów.

Ale problem domagał się rozwiązania. Ellery zamknął się w swoim pokoju i przez 46 godzin błąkał się z kąta w kąt, nie czując głodu ani senności. Po 46 godzinach ojciec Ellery'ego, inspektor Queen, wdał się w sprawę i zapakował syna do łóżka. Ellery, mrucząc gniewnie poddał się i wyraził zgodę na aspirynę, worek z lodem i stek z rusztu.

Ale stek nie został jeszcze zjedzony do końca, kiedy Ellery z krzykiem zerwał się z łóżka i chwycił za słuchawkę telefonu.

Pan Strake? Tu Ellery Queen! Niech pan przyjeżdża natychmiast do domu Hooda. Tak, proszę zawiadomić doktora. Wiem już, jak otruto panią Hood.

Kiedy wszyscy zebrali się w mrocznym salonie, Ellery spojrzał najpierw na pulchną Penelopę, a potem na chudą Lirę i zarechotał.

— Która z pań — zapytał po chwili — zamierza poślubić doktora Benedykta? No, która?

A potem powiedział:

— Sprawa jest jasna. Tylko Penelopa i Lira mogły wyciągnąć korzyść ze śmierci macochy, ale otruć panią Hood mogła tylko jedna osoba: doktór Benedykt. Pyta pan, w jaki sposób? — zwrócił się do doktora. — Ach, to bardzo proste. Pani Hood poczuła się po raz pierwszy niedobrze w dzień po owej wizycie u pana, kiedy to, jak co pół roku, poddała się okresowemu badaniu. A potem, zgodnie z oświadczeniem, złożonym w tym salonie, kontrolował pan stan jej zdrowia każdego dnia. Od czegóż rozpoczynały się te badania? Oczywiście, od mierzenia temperatury. Mierząc temperaturę, pani Hood trzymała termometr w ustach. Stwierdzam, doktorze Ellery — uśmiechnął się gorzko — że ten termometr służył jednak nie tylko do mierzenia temperatury, ale także do wprowadzenia trucizny do ust pani Hood. Czyż nie tak?

Hotel „Chancellor" nie zapomni nigdy dwóch wizyt pana Philly Mullane. Kiedy po raz pierwszy Mullane, występujący wówczas jako Winston F. Parker, zatrzymał się w hotelu „Chancellor" detektyw hotelowy nakrył go prawie natychmiast. Pod osobistym nadzorem inspektora Queena, Philly, w kajdankach, wyniesiony został z pokoju 913 i skazany na dziesięć lat więzienia za rabunek pieniędzy, przeznaczonych na wypłaty. Po raz drugi wyniesiono go z tego samego pokoju po dziesięciu latach. Tym razem kajdanki nie były potrzebne, ponieważ Philly nie żył.

Cała ta historia zaczęła się właściwie na szosie między wzgórzami Berkshire, kiedy to Mullane nadwerężył cokolwiek czaszkę swego przyjaciela, zwanego Mikie Kelner, a następnie wyrzucił go z pędzącego samochodu. Po przejechaniu następnych pięciu mil Philly potraktował podobnie niejaką Patience Pittsburgh, stając się w ten sposób jedynym właścicielem łupu, wynoszącego 62 tysiące dolarów. Mikie i Patience zostali dość szybko odnalezieni przez policję stanu Connecticut. Kelner był tak rozwścieczony, że nie mógł wykrztusić ani słowa, czego nie dałoby się powiedzieć o Patience, która była kobietą, posiadającą bogate a nawet natchnione słownictwo. Po trzech tygodniach Philly został po raz pierwszy wyniesiony z pokoju w hotelu „Chancellor". 62 tysięcy dolarów nie udało się jednak odnaleźć. Mullane, który zjawił się w hotelu natychmiast, jak tylko udało mu się pozbyć swych przyjaciół, nie przepuścił ich z pewnością.

I oto pytanie: co się stało z pieniędzmi?

Któż nie chciałby tego wiedzieć. Ciekawość Patience i Mikie Kelnera nie mogła, oczywiście, zostać zaspokojona, jako że i oni mieli do odsiedzenia po 10 lat. Ale i policja musiała uznać się w tym wypadku za pokonaną. Mullane nie miał bowiem zwyczaju mówienia przez sen.

Kiedy odsiadywał szósty rok, zdawało się, że rzecz wreszcie się wyjaśni. W lipcu tego roku, podczas spaceru, Philly przewrócił się, krzycząc, że został zaszyfrowany. Kiedy odzyskał przytomność w szpitalu więziennym, doktor powiedział mu, kim był ten, który próbował go zamordować. Mullane miał chore serce.

— Serce? — zapytał z niedowierzaniem. — Ja?

Widać było jednak, że słowa doktora przestraszyły go, ponieważ zażądał widzenia z naczelnikiem więzienia.

Naczelnik zjawił się natychmiast. Czekał na tę chwilę prawie sześć lat.

— No i co, Mullane? — spytał.

— Chodzi o te 62 tysiące — wyszeptał Philly.

— No?

— Nie zabiorę ich przecież ze sobą. Tam, na górę. Więc pomyślałem sobie, że lepiej będzie jak powiem, gdzie one są. Na górze będzie mi to zapisane, co? Doktor powiedział, że niedługo umrę...

Ale lekarz więzienny był młodym człowiekiem, nie pozbawionym pewnych ideałów. Wtrącił się więc z oburzeniem:

— Powiedziałem — wykrzyknął — że możesz umrzeć. Ale to nie znaczy, że umrzesz natychmiast. Następny atak może przyjść po latach.

— Po latach? — zapytał Philly znacznie mocniejszym głosem. — Wobec tego, po co ta mowa?

Po czym wyszczerzył zęby w uśmiechu i odwrócił się do ściany. Rozwścieczony naczelnik więzienia odszedł z niczym. A wszyscy, którym zależało na tych 62 tysiącach zrozumieli, że będą jeszcze musieli trochę poczekać.

Czekali więc, licząc dni, dzielące Mullane'a od wyjścia z więzienia. Mieli czas. Patience i Mikie Kelner wydostali się na wolność już po siedmiu latach. Ale Mullane okupił drogo swoje milczenie i odsiedział cały wyrok.

Kiedy opuszczał więzienie, naczelnik wezwał go do siebie.

— Nie myśl — powiedział — że uda ci się dać nogę z tą forsą. Wiesz, jak to jest. Kradzione nie tuczy.

— Myślę — odparł Mullane, uśmiechając się krzywo — że zarobiłem uczciwie te pieniądze. Parszywe 6.200 dolarów za jeden rok, czy to dużo?

Oczywiście, śledzono go przez dwadzieścia cztery godziny po wyjściu z więzienia. Ale po dwudziestu czterech godzinach Mullane zgubił swych opiekunów. A kiedy odnaleziono go ponownie po dziesięciu dniach, nie żył już od piętnastu minut.

To, że ciało zostało znalezione tak szybko, jest zasługą detektywa hotelu „Chancellor", nazwiskiem Blauvelt. Kiedy po dwóch tygod-

Dalszy ciąg na str. 11